M.B. im. L.W. w Łodzi

(838)
ROK XVI 48

RYSZARD BINKOWSKI

POJEDYNEK NA GLINIASTYM POLU

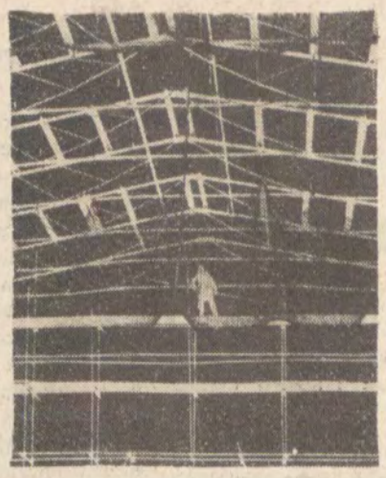

CZY DOBRY KOŃ MOŻE OKULEĆ?

MOSKIEWSKIE NOWINKI

HOMO SAPIENS

SZTUKA ŁÓDZKA

ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 29 LISTOPADA 1973 ROKU TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA: 3 ZŁ

ELEONORA UDALSKA

OBLICZA MATKI COURAGE

Inscenizacja teatralna jest zawsze jedną z możliwych interpretacji sztuki. Jej charakter warunkują nie tylko czynniki czysto teatralne. Zależy również od sytuacji historycznej i filozoficzno-estetycznej czasu, w którym powstaje. Spostrzeżenie to wyjątkowo wyraziście sprawdza się w polskich dziejach scenicznych „Matki Courage" Bertolta Brechta.

Otworzył je objazdowy **Teatr Ziemi Mazowieckiej w Warszawie**. Premiera miała miejsce 23 sierpnia 1958 roku już po pierwszej fali dyskusji nad wartością polityczną teatru Brechta i po słynnych występach teatru **Berliner Ensemble** w Warszawie, Łodzi i Krakowie ze wspaniałą **Heleną Weigel** w roli tytułowej sztuki. Przedstawienie wyreżyserowała **Krystyna Berwińska** ze scenografią **Józefa Szajny**. W roli Matki Courage wystąpiła **Irena Skwierczyńska**. Przedstawienie pozostawało jeszcze pod silnymi wpływami modelowej inscenizacji **Berliner Ensemble**, przede wszystkim naśladowało kompozycję poszczególnych scen i sytuacji. Napisy informacyjne na kurtynkach zastąpiono narratorem w polskim płaszczu żołnierskim, chcąc w ten sposób zaznaczyć aktualność sztuki. Przestrzeń scenic ną nasycono szarością. Nie brakło już w pierwszej inscenizacji progra nowej sztuki Brechta czysto polskich akcentów.

Irena Skwierczyńska obdarzyła Courage cechami przekupki warszawskiej, która w czasie okupacji zadziwiała odwagą i zuchwałością. Kryła się w takim zamierzeniu interpretacyjnym próba uogólnienia tragizmu wojennego nieszczęścia ludu. Matka Courage prezentowała spryt odważnej, powszechnie spotykanej na ulicy okupacyjnej Warszawy prostej kobiety, która musiała być taką, aby się utrzymać przy życiu. Walczyła zresztą o nie zaciekle. Nie było w niej nic z oschłości i tępoty niemieckiego mieszczucha. W ostatniej scenie pozostawała Courage zgnębioną matką, załamaną stratą i przyjaciela, i trojga dzieci, i środków do życia.

Inaczej rozkładają akcenty w osobowości Matki Courage dwie jej kolejne wykonawczynie: **Lidia Zamkow** w teatrze krakowskim i **Irena Eichlerówna** w teatrze warszawskim. **Teatr Kameralny w Krakowie** wystawia

Dalszy ciąg na str. 7

TADEUSZ MICHALSKI

DOMOWE OGNISKO

Dzień powszedni. Samo południe. Razem ze szkolnym opiekunem społecznym odwiedzam w starej czynszowej kamienicy jedno z bałuckich mieszkań. Drzwi otwiera nam 14-letnia Dorota. Jest wyraźnie zaskoczona niespodziewaną wizytą „swojej pani".

— Proszę pani — próbuje się tłumaczyć już na progu — ja dziś też nie mogłam przyjść do szkoły, bo...

— Porozmawiamy o tym za chwilę — przerywa nauczycielka — ale chyba nie na korytarzu.

Wchodzimy do mieszkania. Ogarnia nas przerażenie. Gdzie my jesteśmy? Potwornie brudne ściany przypominają raczej wojskową strzelnicę — tyle w nich dziur i odprysków. W kącie na słomianym sienniku śpi, przykryty jakimś czarnym łachmanem, 4-letni Marek, obok w drewnianym łóżeczku 2-letnia Kasia. Na stole ślady niedawnej libacji — butelki po winie i wódce, resztki wyschniętego jedzenia, porozrzucane niedopałki papierosów. Trudny do zniesienia fetor.

— Skąd ten okropy zapach? — pytam.

— Proszę pana, to przez te koty — są jeszcze małe i wszędzie brudzą. Zaraz wyrzucę je na korytarz i otworzę okno.

GOSPODYNI

Siadamy przy stole. Mieliśmy rozmawiać z Dorotą o przyczynach jej częstych nieobecności w szkole. A tymczasem wiemy już, że nie będzie to główny cel naszej wizyty. Na odpowiedź czekają bowiem znacznie istotniejsze pytania. Od czego zacząć?

— Dorotko — przerywa milczenie nauczycielka — powiedz mi, gdzie jest twoje pozostałe rodzeństwo? Wiem, że masz jeszcze trzech młodszych braci.

— Józka — proszę pani — zawiozłam wczoraj rano do szpitala zakaźnego na Radogoszcz. Miał świerzb. Bałam się, że zarazi te najmłodsze — Marka i Kasię. Stasio też jest od dwóch tygodni w szpitalu. Sąsiadka, ta obok, mówiła, że ma bardzo krzywe nóżki i powinien być zbadany przez lekarza.

Dalsze wyjaśnienia Doroty przerwał 8-letni Krzysio, który jak huragan wpadł do mieszkania, trzymając w jednej ręce butelkę mleka, w drugiej bochenek chleba.

— Dorota — krzyknął — daj butelki, polecę sprze...

Na widok obcych mu ludzi przerwał w pół słowa.

— Pozwól do mnie, Krzysiu — powiedziała nauczycielka. — Dlaczego nie jesteś w szkole?

Zawstydzona postać dziecka stoi przed nami bez ruchu ze spuszczoną głową.

— To przez Dorotę — mówi cichutko — Ona kazała mi zostać w domu. Mówiła, że ma dużo pracy i muszę jej pomóc. Ale ona naprawdę ma dużo pracy — dodaje jakby na usprawiedliwienie swojej nieobecności w szkole.

— Dorotko — chcieliśmy rozmawiać z twoimi rodzicami. Wielokrotnie prosiłam cię, aby matka przyszła do szkoły, jednak bez rezultatu. Musimy przecież wyjaśnić dużo poważnych spraw. Kiedy twoi rodzice wracają z pracy?

— Proszę pani, moja mama już nie pracuje. Powiedziała, że za takie grosze nie warto.

— A gdzie teraz przebywa?

— Nie wiem. Wstała o dziesiątej, zostawiła dziesięć złotych na mleko, chleb i wyszła. Mama tak codziennie, proszę pani. Wychodzi rano i wraca bardzo późno wieczorem. Czasem nie ma jej całą noc.

Zaczynam rozumieć, że dziecko wyraźnie pragnie nie dopuścić do naszego spotkania z matką. I jak się niebawem okazało, miała ku temu istotne powody.

— A ojciec?

— Ojciec pracuje w prywatnej wytwórni wód gazowych, jest kierowcą. Dzisiaj nie poszedł do pracy. Mówił, że jest chory. Śpi w drugim pokoju.

Raz jeszcze spojrzeliśmy na zastawiony butelkami stół. Nic dziwnego, że „zachorował" — pomyślałem.

Dalszy ciąg na str. 5

Fot. J. Mendychowski

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

STUDENT NA BIWAKU

Chwileczkę — nie ma powodów do niepokoju i nieporozumień. Z dobrze poinformowanych źródeł wiadomo mi, iż miejsce studenta jest przede wszystkim na uczelni — w sali wykładowej, laboratorium, bibliotece, tudzież w innych przybytkach, gdzie w pocie czoła pracować trzeba na brzęczącą monetę w postaci premii za czwórki i piątki w indeksie. Nie zamykajmy jednak oczu na fakty i urodę życia. W końcu nie samymi piątkami student żyje, a słabe przywiązanie studenta do tzw. mamony znajduje m.in. swój wyraz w jego szlachetnym udziale w rozmaitych, darmowych czyli społecznych pracach, podejmowanych na rzecz miasta i okolic.

Od czasu do czasu, przytłoczony ciężarem wiedzy i spragniony relaksu student garnie się bowiem — ku uciesze publikatorów — do kielni bądź do łopaty, demonstrując przy tym nierzadko radującą serce i oko tężyznę fizyczną. Ów hart ciała i ducha daje mu przede wszystkim — co zostało naukowo udowodnione — **TURYSTYKA!!!** Dostrzegając więc

Dalszy ciąg na str. 4

„CENTRALNY NADAJNIK"

Artykuł Widoka „Centralny nadajnik" i aprobata słów prof. Suchodolskiego jest w pełni uzasadnioną tym, że nic nie odbiega od rzeczywistości.

Dawno czekałam na taki artykuł, próbowałam przy mojej domowej młodzieży przeczytać, ale mi przerwano; odpo-

Dalszy ciąg na str. 4

9 GRUDNIA

Kampania wyborcza i sam akt głosowania to zakrojone na olbrzymią skalę przedsięwzięcie polityczne i organizatorskie. Dokonujemy bowiem zasadniczej reformy w systemie rad narodowych i zasadach funkcjonowania administracji państwowej, co wymaga pełnego upowszechnienia wśród społeczeństwa celu i sensu tych zmian. Wielki wysiłek organizatorski najlepiej może scharakteryzować kilka liczb:

◄ uprawnionych do głosowania jest 23 miliony obywateli.

◄ do rad wszystkich szczebli wybierać będziemy ok. 135 tys. radnych.

(Liczba rad narodowych zmniejszy się o ponad 46 proc. a radnych ok. 18 proc. w stosunku do roku 1969. Wynika to z przeprowadzonej wcześniej reformy administracji na wsi, kiedy z dużej ilości niewielkich gromad utworzono gminy, organizmy społeczno-gospodarcze z prawdziwego zdarzenia).

Po wyborach będą w naszym kraju funkcjonować:

◄ 22 rady stopnia wojewódzkiego (w tym 5 miast wydzielonych).

◄ 299 powiatowych rad narodowych i 63 rady miast stanowiące powiaty.

◄ 15 rad wspólnych dla miast i powiatów.

◄ 1990 gminnych rad narodowych.

◄ 378 miejskich rad miast nie stanowiących powiatów.

◄ 375 rad wspólnych dla gminy i miasta oraz dzielnicowe rady w większych miastach.

(Liczby rad nie odpowiadają liczebności jednostek administracyjnych w kraju ze względu na wprowadzenie wspólnych rad na różnych szczeblach. W efekcie przy zmniejszonej liczbie rad w każdej z nich będzie więcej radnych. Jeśli bowiem w 1969 przypadało na 1 radę 28 mandatów, to w roku 1973 będzie 43 mandaty, co ma swoją oczywistą wymowę).

Na dwa tygodnie przed wyborami, kiedy piszę te słowa, można już stwierdzić, że dzięki wysiłkom działaczy i aktywistów społecznych, kandydatów na radnych wszystkich szczebli — zrobiono wszystko, aby kampanię wyborczą przeprowadzić sprawnie, a jednocześnie uzyskać maksymalne efekty społeczne, jakie stwarza okazja do powszechnego dialogu z wyborcami.

W pracach komisji wyborczych w całym kraju bierze udział ok. 175 tys. osób. Są to ludzie, jak się ocenia powszechnie, kompetentni, ofiarni, zdyscyplinowani, sprawni organizatorzy. Widać to po przygotowaniu lokali wyborczych, sprawnej informacji, odpowiednim oznakowaniu itd. Aktyw ten działa w 18,5 tys. obwodów głosowania, w 28 tys. okręgów wyborczych (w tym 350 obwodów głosowania będzie na statkach).

Pierwsze oceny (jak poinformowano aktyw partyjny na naradzie w KŁ PZPR 24 bm.) kandydatów na radnych są pozytywne. Wyborcy ze szczególnym uznaniem akceptują zmiany jakie zaszły w przekroju socjalnym kandydatów w porównaniu do ubiegłej kadencji. I tak: udział robotników zwiększył się z 37 proc. do 44 proc., kobiet z 35 do 41, młodzieży z 9 do 16. Niemal podwoił się udział bezpartyjnych w radach — z 26 proc. poprzednio do 40 proc. obecnie.

Podobne proporcje są w całym kraju, również na wsi. Zwiększony udział robotników i rolników w radach ma swoją polityczną wymowę i pozytywne znaczenie również w sensie praktycznym. Doświadczenia poprzednich kadencji wykazały, że radni bezpośrednio związani z produkcją są najaktywniejsi, występują odważnie i bezkompromisowo, co nie zawsze można było powiedzieć o radnych związanych zależnościami służbowymi i nieformalnymi powiązaniami środowiskowymi.

W dniach od 4 do 18 listopada trwało sprawdzanie list wyborczych. W całym kraju sprawdziło listy w sumie ponad 90 proc. wyborców. Ilość reklamacji była stosunkowo niewielka, ok. 3600. W Łodzi na 619 045 uprawnionych do głosowania sprawdziło listy 601 184, co stanowi 97,1 procent.

Obecnie trwają spotkania z kandydatami na radnych. Do 23 bm. odbyło się już 88 spotkań na planowane 154. Uczestniczyło w nich ponad 8 tys. wyborców (średnio ok. 90 na jednym spotkaniu). Głos w dyskusjach zabrało ponad 1100 osób. Spotkania zostały starannie przygotowane. Sale są ładnie udekorowane, w niektórych przypadkach organizowano nawet część artystyczną. A co najważniejsze, pozytywny jest merytoryczny sens tych spotkań. To zasługa wyborców i kandydatów na radnych, organizatorów spotkań.

Wystąpienia kandydatów świadczą, że są oni dobrze przygotowani i potrafią nawiązać bezpośredni kontakt z ludźmi. Wystąpienia dyskutantów są odpowiedzialne, widać w nich obywatelską troskę o sprawy swojego środowiska. Wiele wystąpień jest krytycznych, szczególnie dotyczących działalności ADM i MZBM, handlu i usług, komunikacji.

Postulaty wyborców są w większości słuszne i realne, nie wymagają wielkich inwestycji, a raczej sprawnego działania tych jednostek administracji i przedsiębiorstw, które mają wpływ na codzienną egzystencję nas wszystkich. Rejestr tych spraw jest długi: od nieświeżego pieczywa, opieszałych remontów, oświetlenia ulic, do ochrony środowiska, budowy boisk, opieki nad młodzieżą itd. Stoi za nim obywatelska troska i powszechnie deklarowana chęć pomocy i współudziału w przezwyciężaniu tych stosunkowo drobnych, ale uciążliwych dla życia zjawisk.

Nowe rady narodowe, na pewno nie przejdą nad nimi do porządku dziennego. Świadczy już o tym powaga, rzeczowość i poczucie odpowiedzialności kandydatów na radnych — czego dają dowód na licznych spotkaniach. I tak jest w całym kraju, w Łodzi i w województwie łódzkim. Mandat spoczęstwa jest zarówno dowodem wyróżnienia i zaufania, ale także ogromnym zobowiązaniem. O takim rozumieniu swoich przyszłych obowiązków świadczą wypowiedzi kandydatów w prasie, radiu i telewizji. Również wypowiedzi kandydatów wywodzących się ze środowisk humanistycznych Łodzi, które zamieszczamy w dzisiejszym numerze. (W następnym zamieścimy wypowiedzi kandydatów z województwa łódzkiego).

Zakończenie kampanii wyborczej przewiduje się w dniu 2 grudnia. Następnego dnia tow. Bolesław Koperski, I sekretarz KŁ PZPR, przed kamerami telewizji podsumuje jej wyniki. Już 17 grudnia odbędzie się pierwsza sesja nowej, łódzkiej rady narodowej, a w dn. 19—21 XII. sesja dzielnicowych rad narodowych. Przyjęte tam zadania i programy działania rozpoczną, z końcem udanego i pomyślnego roku 1973, nowy ważny etap w życiu naszego miasta.

9 GRUDNIA pójdziemy wszyscy do urn wyborczych aby spełnić swój obywatelski obowiązek i jednocześnie dać dowód obywatelskiego zaangażowania w dalszy rozwój swego kraju, miasta, dzielnicy. Potwierdzić jeszcze kolejny raz własne ambicje pracownia i życia na miarę dzisiejszych i przyszłych aspiracji.

(J. W.)

„CZŁOWIEK ŚWIAT POLITYKA"

To już pewna tradycja, siódma z kolei dekada Dni Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek — Świat — Polityka". W dniach 20—30 listopada jesteśmy świadkami wielu różnych poczynań, urozmaiconych w formie i nieszablonowych, które mają na celu przybliżenie nam wydawnictw, bez których trudno sobie wyobrazić świadome i twórcze działanie współczesnego człowieka.

Tegoroczne Dni mają szczególny przebieg, bo i rok jest cały rok 1973, rok wielu doniosłych wydarzeń. Stąd więc zrozumiałe jest, że dekada książki społeczno-politycznej przebiega pod znakiem problematyki I Krajowej Konferencji Partyjnej, pod znakiem faktów wynikających z obchodów wielkich rocznic, jak XXX-lecie Wojska Polskiego i zwycięstwa nad faszyzmem, XXX-lecia współpracy Polsko-Radzieckiej, XXV-lecia zjednoczenia ruchu robotniczego w naszym kraju, wyborów do rad narodowych, przygotowań do obchodów Trzydziestolecia Polski Ludowej.

Wydawcy, księgarze, bibliotekarze, wszyscy działający w zakresie upowszechnienia książki społeczno-politycznej, przygotowali Dni starannie i z rozmachem. I najważniejsze: mieli co oferować czytelnikom. A konkretnie ok. tysiąc tytułów znalazło się na rynku czytelniczym! Te książki to zarówno dzieła wybitnych ludzi nauki, opracowania źródłowe, tak poszukiwane encyklopedie i słowniki, pełna dokumentacja najważniejszych wydarzeń w życiu kraju, a także powieści i reportaże.

Wiele imprez, wystaw, spotkań autorskich, publikacji prasowych — to akcent ważny i znaczący. Chodzi jednak i o to, by zainteresowanie książką społeczno-polityczną miało charakter stały, aby wiele z proponowanych pozycji, w zależności od potrzeb i upodobań, towarzyszyło nam w pożyteczny sposób na co dzień.

PROSZĘ O GŁOS

CHLEB Z KAMIENIAMI

Z targów i jarmarków wracają chłopskie furmanki. To, co było do sprzedania, pozostało w mieście. Ale furmanki nie wracają puste. W deskach, w korytkach z obrokiem podskakują bochny miastowego chleba. Widać je też w kobiałkach po jajach na pomostach podmiejskich tramwajów. Chleb z miasta jedzie na wieś. Dlaczego?

Wieś dawno wyszła z samowystarczalnego średniowiecza. Chłop nie plecie łapci z łyka, nie tką lnianych szmat. Chłop stał się producentem, w pełnym tego słowa znaczeniu, artykułów na sprzedaż. Nie staje już m. in. czasu na pracochłonny, domowy wypiek chleba. Zresztą nie ma gdzie wypiekać, bo domy coraz nowocześniejsze, często gęsto wille piętrowe ze wszystkimi wygodami, w których zabrakło miejsca na tradycyjne „sabatniki".

Wieś orze, sieje, zbiera plon, czyli bezpośrednio pracuje na wspólny bochen chleba. W zamian chciałaby kupować dobry i smaczny chleb, bo jest to bardziej opłacalne, aniżeli chałupnicze mozolenie się z dzieżą. I dlatego chleb z miasta jedzie na wieś. Ale nie tylko dlatego...

Często odczuwa się na wsi brak chleba „geesowskiego", a jego jakość i sposób dostarczania może odstraszyć niejednego konsumenta wiejskiego. W związku z tym widzi się długie kolejki przed nielicznymi prywatnymi piekarniami. Swego czasu na szlaku między Tomaszowem Maz. a Pabianicami kursował wóz wyładowany wielkimi bochnami chleba z tradycyjnego, domowego wypieku. Gospodynie już o zmroku czatowały na ten wóz, kupowały po dwa bochny, owijały je w folię i przez tydzień żywiły tym chlebem rodzinę. Wóz już nie jeździ, firmę zlikwidowano, bo podobno ładowała do ciasta za dużo ziemniaków. Ale już sam fakt, że znajdowało się na ten chleb tak wielu nabywców, świadczy o braku zaufania do pieczywa z geesowskich piekarni. Czy słusznie?

Z obserwacji i doświadczeń, jakie odnotowałem podczas wędrówek reporterskich po województwie wynika, że obawy są słuszne. Pamiętam okres żniw, kiedy to w jednej ze wsi w pow. bełchatowskim ludzie pytali mnie z żalem i oburzeniem, czy to jest w porządku, że przywozi się do nich stary, zebrany po innych sklepach chleb. Albo wręcz surowy? I to tylko trzy razy w tygodniu, dla około tysiąca mieszkańców.

GS w Łęczycy twierdzi np., że na terenie powiatu podaż pieczywa w zupełności zaspokaja popyt. Ma o tym świadczyć przecena chleba (po kilkanaście kg) w niektórych sklepach. Czyli jest fajnie, ale mnie mówili ludzie w innych powiatach, że chleba tak bardzo się nie przecenia i że często mieszkańcy wsi skazani są na chleb „parowany". Stary, odświeżany nad parą.

Niektórzy uważają, że rolnik przyjeżdżający do miasta może zaopatrzyć się w pieczywo na terenie miasta. Wobec tego po co prowadzi się sklepy we wsiach? Przecież tam właśnie rolnik powinien zaopatrzyć się w artykuły pierwszej potrzeby.

Pies jest gdzie indziej pogrzebany. Na terenie powiatów, tak jak chociażby w Poddębicach, odczuwa się brak piekarzy. Do pracy w piekarniach geesowskich przyjmowani są ludzie bez fachowego przygotowania. Dlaczego? Bo płace niewysokie, praca nocna, więc chętnych brak. Ludzie ci nadawaliby się do ugniatania kapusty w beczkach, ale nie do fachowego wypieku chleba. A poza tym jestem pewien, że stara kobieta wiejska ma nieraz więcej wiadomości na temat receptury wypieku niż niejeden kierownik piekarni. I stąd do konsumenta trafia chleb „jak glina", surowy, przesolony lub w ogóle bez soli, niesmaczny.

Przyczyniają się też do tego przestarzałe urządzenia. Zimą zamarza woda w studzienkach, piekarnia stoi, a pod sklepami wiejskimi stoją na mrozie czekający po kilka godzin ludzie, GS zaś szuka chleba w sąsiedztwie. Zaznaczony już wyżej brak piekarzy powoduje, że nie wykorzystuje się należycie tzw. mocy produkcyjnych, nawet tam, gdzie urządzenia są sprawne.

Handlowcy na wsi nie dysponują też transportem przystosowanym do przewozu pieczywa. Pod Sieradzem widziałem odkrytą przyczepę traktorową, wyładowaną bochenkami świeżego chleba. Okrywała je gruba warstwa pyłu. Wskutek wstrząsów bochenki zamieniały się w niekształtne placki. Najczęściej jednak chleb przewozi się „żukami", w drewnianych skrzynkach. „Żuk" z tyłu ma kawałek furkocącej plandeki, albo nie ma jej wcale, przeto pył, kamienie, grudy błota i śniegu wpadają do środka.

Najgorsze, że nigdy nie wiadomo, o której godzinie taki samochód dostawczy przyjedzie do sklepu. Ludzie denerwują się, tracą czas, marzną pod sklepem, a kiedy samochód zjawi się w czasie, gdy sklepowa jest akurat w kasie z utargiem, to już koniec świata! Trwa oblężenie samochodu, kierowca ugina się pod presją tłumu i sam zaczyna sprzedawać chleb. Właśnie! Nie żaden konwojent w białym fartuchu, lecz kierowca. On SAM przywozi pieczywo. W kufajce, z usmolonymi rękami, bo po drodze naprawiał silnik. Wnosi chleb, przelicza bochenki, często pomagają mu chłopi, żeby było szybciej...

Swego czasu byłem świadkiem, jak podczas nocnego rajdu inspektorzy WRZZ w piekarni przy ul. Artyleryjskiej w Łodzi wyłapywali fruwające wśród pyłu mącznego... mole. Teraz wstawia się tam urządzenia holenderskie, dzięki czemu wypiecze się 5 ton smacznego pieczywa na jednej zmianie. Będą bułki słodkie po holendersku, z makiem, serem i także inne. I to cieszy, ale cieszyłoby jeszcze bardziej, gdyby te zmiany trafiły jak najrychlej do piekarnictwa geesowskiego. Bo wieś orze, sieje, zbiera plony itd... Myślę więc, że nowe władze gminne zajmą się „sprawą chleba" z niemniejszą energią, jak sprawami wzrostu hodowli, wydajności z ha itd...

RYSZARD BINKOWSKI

▼ REWELACYJNA wiadomość ukazała się niedawno na łamach „Dziennika Łódzkiego". Jej tytuł brzmiał: **„W PESZCIE DANIA NAPRAWDĘ WĘGIERSKIE"**. A z treści wynikało, że w łódzkiej restauracji **„PESZT"** od 16—20 listopada można było otrzymać dania kuchni węgierskiej.

Pamięć – okazuje się – mamy diabelnie krótką, a warto było zajrzeć choćby do roczników własnej gazety, i sprawdzić, że „Dziennik Łódzki" też pisał o **„PESZCIE"**, że będzie to restauracja specjalizująca się w kuchni węgierskiej. I tak było na jej otwarciu. Później rzecz cała poszła w niepamięć. Trzeba było aż **DNI KULTURY WĘGIERSKIEJ**, aby w **„PESZCIE"** pojawiły się **„DANIA NAPRAWDĘ WĘGIERSKIE"**.

NOTY I OPINIE

◄ NOWOCZESNOŚĆ wkracza do mieszkań. W nowych blokach instaluje się obecnie czeskie grzejniki centralnego ogrzewania, zamiast przestarzałych „żeberek". Nowe grzejniki są estetyczne i praktyczniejsze od „żeberek" – tak przynajmniej głoszą fachowcy. Grzejniki te wytwarza CSRS – jedyny ich producent w RWPG. Polska je importuje i obecnie już przedsiębiorstwa robót instalacyjnych zakładają je w nowych blokach nie tylko w Łodzi, ale też w większych miastach województwa łódzkiego.

Cieszyć by się tym wypadało, gdyby nie pewien „drobiazg". Oto w „Dzienniku Łódzkim" opisano perypetie mieszkańców bloku RSM „Osiedle Młodych", który oddano do użytku w lipcu br. W bloku tym zainstalowano jeszcze starożytne „żeberka". Cóż z tego, kiedy są one zimne. Nie pomagają interwencje w administracji, nie pomagają interwencje u budowlanych, którzy jakoby instalację tę spartolili, nie interesuje się tym Zakład Sieci Cieplnej.

◄ „KTO NAPRAWI KALORYFERY?" – pyta „Dziennik Łódzki". Jest to jak do tej pory pytanie retoryczne. Fachowców od tego rodzaju napraw mamy niby sporo, ale kiedy przyjdzie do konkretnej naprawy, to okazuje się, że „to nie ich sprawa".

I cóż nam z tego, że teraz instaluje się estetyczne i lepsze kaloryfery czeskiej produkcji, skoro i te mogą się zepsuć, skoro mogą się „zapowietrzyć" lub może się im stać coś jeszcze innego i wtedy okazuje się, że cała ta nowoczesność, jak i dotychczasowy starożytność rozbija się o jednego hydraulika z „lufthausą". Jeszcze to jeden kamyczek do ogródka usług.

◄ TARGI KRAJOWE dawno już się skończyły, a na łamach prasy nadal pojawiają się refleksje na ten temat. Ciągle powtarza się to samo pytanie: kiedy te ładne propozycje pokazane w Poznaniu będziemy mogli znaleźć w sklepie? Nie jest to nowe pytanie. Zadaje się je już kilka ładnych lat, a może i więcej, ale sytuacja pozostaje niezmienna. Propozycje są efektowne, produkcja masowa daleko odbiega od pierwowzorów.

Przykładem może być przemysł skórzany, który wytwarza ze skór importowanych, a więc powinien szczególnie troszczyć się o całkowite wykorzystanie surowca. Butów mamy dużo, ale w większości niełądne i niewygodne. Przyczyna: brak właściwych kopyt, brak surowców zastępczych. Dopiero w 1975 roku ruszy produkcja kopyt w rozbudowywanej fabryce, dopiero buduje się fabryka, która będzie wytwarzała części zamienne dla maszyn obuwniczych i formy do obcasów.

W tej sytuacji „Express Wieczorny" zaproponował nieśmiało, aby przemysł skórzany zamiast sprowadzać nie zawsze najlepsze buty z innych krajów, spróbował kupić za granicą modne kopyta. Może warto byłoby zastanowić się nad tą propozycją, zamiast czekać spokojnie do 1975 roku?

Również i inne przemysły mają wiele możliwości, dzięki wykorzystaniu których znacznie poprawiłoby się zaopatrzenie rynku wewnętrznego. Warto przy tej okazji przypomnieć, że Rada Ministrów za pośrednictwem rzecznika prasowego Rządu – Włodzimierza Janiurka stwierdziła, iż stałą poprawę zaopatrzenia rynku traktuje jako kluczowe zagadnienie gospodarcze.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji) MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

Kiedy wiosną 72 r. na polach pod Radomskiem wbito przysłowiowy pierwszy kołek, dając tym początek robót przygotowawczych pod przyszłą budowę, to jeszcze był spokój. Ale później w okolicznych wsiach i w samym mieście zagotowało się, gdyż „Mostostal" przyciągał już samą nazwą i każdemu z daleka pachniało forsą. Ciągnął więc jeden za drugim, kręcił się po budowie, podglądał. Pytanko leciało jedno:

— Kto tu najlepiej zarabia?

— A co pan potrafisz?

— No, ja tam mógłbym do wszystkiego...

Ten i ów wyniuchał, że na jednym z dachów zarabiają po 4 tysiące, więc zaraz:

— Panie kierowniku, ja chciałbym na dachu.

— Masz pan badania wysokościowe?

— Jasne, że mam!

— Więc proszę je przynieść. Bo jak spadniesz, człowieku, na łeb, to trzeba się składać na wieniec, a kwiaty drogie.

Wesołek! Nie miał tych badań i więcej się nie pokazał, on się tylko oglądał za forsą. A 4 tysiące, owszem, wyciągnie, ale fachowiec, który schodzi z roboty po 12-godzinnej zmianie. Zarobić można, od 1600 do 6500, to prawda, stąd też mit krążył wokół budowy. Tylko, że niejeden grubo się poszkapił, sądząc, że wystarczy się poklepać po brzuchu i lekko jest te cztery.

POJEDYNEK NA GLINIASTYM POLU

RYSZARD BINKOWSKI

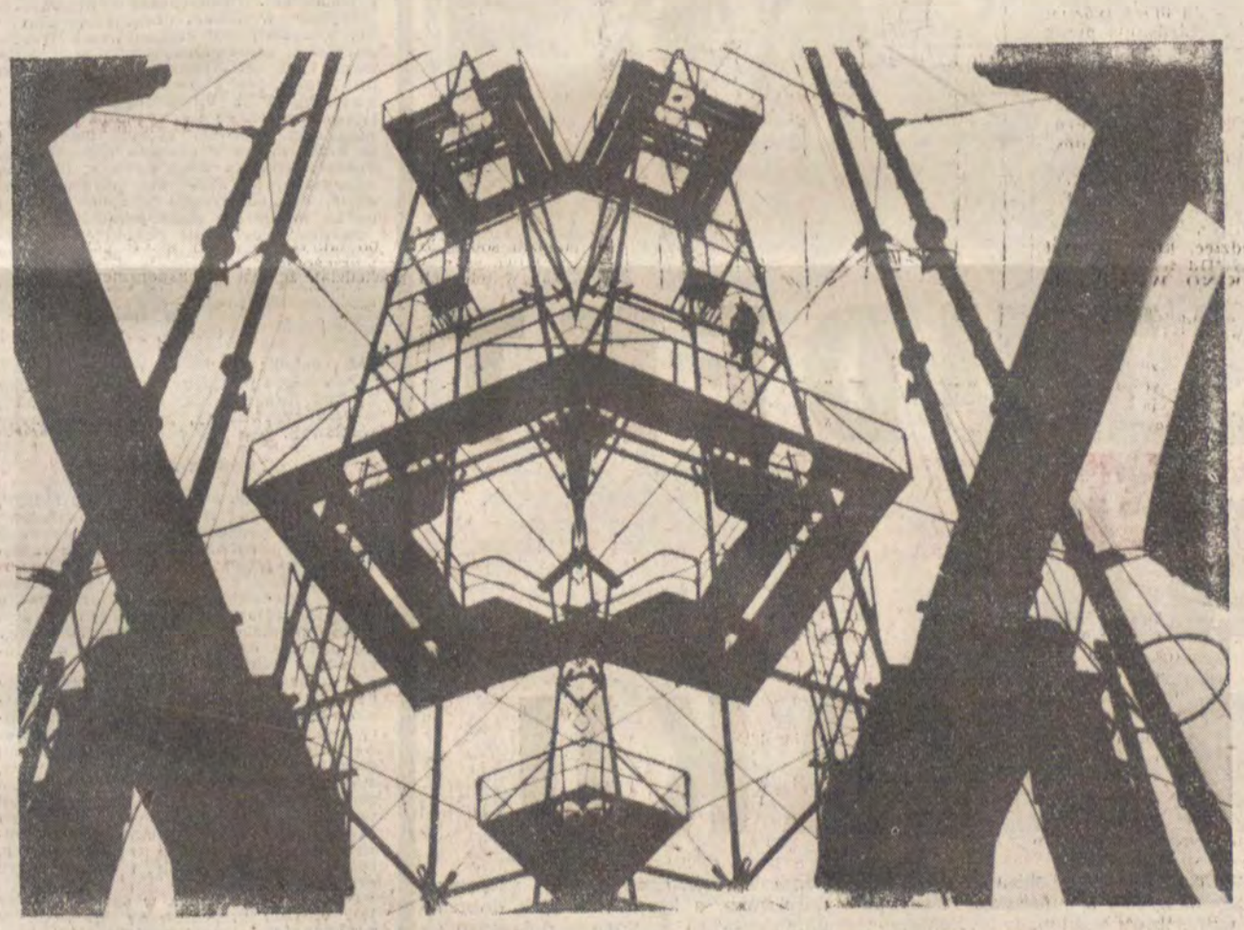

Z wierzchu wszystko wyglądało ładnie. Rosło sobie żytko, dorodne kartofle, krowy jeszcze jesienią ubroku skubały soczystą trawę, ale kiedy spychy rozpruły puste pola, to zaczął się cyrk! Fachowo: grunt nieprzepuszczalny, czyli po każdym deszczyku rozchlupotane, gliniaste bagno. Dróg jeszcze nie było, więc nikt z majstrów nie widział, którędy przepuszczać wozy, żeby się nie potopiły. Koparki i wywrotki topiły się, ale wyciągano je traktorami. Ludzie też się topili i sami się wyciągali. Bo *„Mostostal" z Będzina* dreptał w miejscu i czekał niecierpliwie z konstrukcjami i urządzeniami. Konstrukcje muszą być wsparte na słupach. Ale żeby słupy stanęły, należy wykonać „szklanki", czyli „stopy": głębokie doły fundamentowe, w które wchodzi średnio 46 m sześc. betonu...

Luty 73 był łagodny, ale brygada *Jana (II) Motylskiego*, lejąca te stopy, właśnie wtedy najbardziej dostała w krzyże. Jednak nie połamała się. Słabeusze i różne obiboki dawno się wykruszyli, pozostali najtwardsi. Motylski postawił na nich. Wiedział, co robi, miał doświadczenie. 26 lat na budowach w Polsce. Jaworzno, elektrownie w Wałbrzychu i Łaziskach, Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie to tylko fragmenty jego drogi życiowej. Jest technikiem budowlanym, ale zbrzydły mu kierownicze stanowiska, więc został brygadzistą i dobrał sobie 12 młodych ludzi, średnia wieku — 24 lata.

— *Grunt to dobrać odpowiednich ludzi* — mówi — *starać się być dla nich wyrozumiałym, ale i rygorystycznym; myśleć „naprzód", zatroszczyć się o dojazd, kruszywo, a robota pójdzie!*

I poszła. Podzielili się na dwie szóstki. Jedna zaczynała prace o 7.00 i kończyła o 19.00, druga zaczynała o 19.00 a kończyła o 7.00...

No i zalali te stopy na czas. Będzin postawił pierwszy słup, zawiesił wiechę i ogłosił światu, że 70 tys. przerobu ma z głowy.

Ludzie Motylskiego wyszli z sięgającego do pasa błota.

Pod niebem wyraziście zarysowały się ostre kontury *WYTWÓRNI KONSTRUKCJI STALOWYCH „MOSTOSTAL" W RADOMSKU*...

Kiedy dwa tygodnie temu zajechałem samochodem przed barak, w którym urzęduje kierownictwo głównego wykonawcy — *Łaskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego „Montoprzem"*, nie wiedziałem, jak wysiąść, żeby nie wpaść w błoto. Samochód zmieścił się na małym podjeździe, a ja trzymając się ściany dotarłem do pomieszczeń biurowych.

Kierownik budowy, *mgr inż. Włodzimierz Lefik*, absolwent Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Łódzkiej, to młody, 30-letni mężczyzna. Przyjął mnie bardzo życzliwie i zgodził się bez ceregieli oprowadzić po budowie. Mistrz *Adam Stelmach* natychmiast wytrzasnął gumiaki, wymościł je gazetami i wydał rozkaz:

— *Skacz pan w kapcie, a nie utop się!*

Podążając za Lefikiem patrzyłem z przerażeniem, jak jego gumiaki zagłębiają się w rozkisłej bryi, wyłażą z chlupotem, i jak ta żółta maź natychmiast zalewa ślady stóp. Ale szedłem z ufnością. Gdyby bowiem inż. Lefik chciał mnie gdzieś wpakować po pas w błoto, to ja bym mu się odwdzięczył, bo on też mieszka w Pabianicach, i to nawet blisko mnie...

Wreszcie beton, ogromne stalowe słupy. To przyszłe składowisko wyrobów gotowych, które za pomocą suwnic będzie się ładować na wagony.

Dalej wielonawowa hala produkcyjna, na jej szczycie wiecha. Idziemy obok niej, szlakiem, gdzie stanie przybudówka socjalna. Zagapiłem się na sterty płyt dachowych, pokrytych z obu stron eternitem, a jeszcze bardziej na domki ulicy Dobryszyckiej i na tę chałupę obok zwałów ziemi, jeszcze na terenie budowy. Sterczą rozwalone krokwie, świecą liszaje malowanych ścian; chata powoli, w miarę rozbudowy Wytwórni, znika z powierzchni ziemi.

Zagapiłem się... i wpadłem w wykop kanału, przechodząc w ten sposób gliniasty chrzest. A tych kanałów jest tu od cholery, bo wciąż trwają roboty uzbrojeniowe.

Hale hutnicze. Jeżdżą po niej ciągniki, murarze stawiają ścianki, wśród konstrukcji jak pająki wiszą spawacze.

— *Grzać, chłopy, grzać* — mówi kierownik — *bo już czuć śnieg!*

Każdy chce robić, ale to tarcicy brakuje, to kruszywa. Kłopoty z transportem.

Ci z montażu, tam w górze, wolą mróz. Najgorzej, kiedy wieje lub pada. Tak powiedział *Eugeniusz Pacześ*, spawacz montażowy, pracujący tu od września ub. roku. To jego 32 budowa. Żona mieszka w Tuszynie, a Pacześ w hotelu lub na kwaterze. Wędruje jak Cygan po Polsce, od Zgierza i Ozorkowa po Częstochowę i Gorzkowice. Kiedy trzeba było nadrabiać, ciągnął po 12, 14 godzin na dobę.

Ludzie mówią:

— *Panie, jak się człowiek urobi, to nawet odchodzi chęć na wyjazd do domu.*

— *Jedziesz, bracie, łypluty z sił, a tam czekają obowiązki małżeńskie...*

— *To dla świętego spokoju rypnie się tę ćwiartkę po drodze, a w domu prosto w kimono!*

Inżynier Lefik też wpada raz w tygodniu do domu. Ośmioletnia córka już go nie poznaje. W ostatnią sobotę spytała: — *Pan do kogo?...*

Ale wróćmy na plac budowy. Hale produkcyjne przecinają tory kolejowe, bocznica już oddana do użytku, tak samo zajezdnia dla lokomotyw, wytwórnia acetylenu, magazyn główny i wyrobów łatwopalnych.

Na wydziałach pomocniczych ustawia się maszyny, uruchamia wydział szkolny, maluje ściany, szkli, myje szyby. Dzięki temu radomszczański *„Mostostal"* ruszył już z produkcją. Mimo wielu trudności.

Malarz wykłóca się o farbę, szklarz mówi, że szkło potłukli w transporcie i że mu nawalił kumpel; brakuje desek na szalunki fundamentów pod stołówkę. Statystycznie ludzi jest dosyć, 700 osób, ale z fachowcami krucho, np. tylko dwóch. płytkarzy.

— *Jeden taki, co mieszka przy tej trasie co ja* — mówi stary robotnik — *chciałby się przyjąć za cieślę.*

— *A murować nie umie?* — pyta Lefik.

— *Nie wiem, trza by go spytać...*

— *Panie kochany, ściągnij pan lepiej ze wsi ze trzech murarzy, dobra? Tych mi potrzeba.*

— *No, pogada się...*

Pokazuje mi Lefik budynek rozdzielni, portierni, czteropiętrowy biurowiec, gdzie wiatr hula wściekle i dokucza murarzom; tu trochę przyhamowało robotę, bo zabrakło prefabrykatów, a elektrycy czekali.

Ciepłociąg już prawie gotowy, trzeba go podłączyć do *„Famegu"*.

Ludzi jest 700, ale znać, że robota dobrze zorganizowana, bo tych ludzi nie widać w większych grupkach. Na budowie jednak coraz ciaśniej. Podwykonawcy pchają się na plac jeden przez drugiego: *„Mostostal"* Będzin (konstrukcje i urządzenia), *Zduńskowolskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych* (uzbrojenie terenu), *ŁPJP „Instal"* (instalacje wewnętrzne), *„Elektromontaż" i „Lambda"* (roboty izolacyjne).

Zduńska Wola nawaliła z deszczówkami, czyli drenażem odprowadzającym wody opadowe i jest mały poślizg. Wspominał o tym mistrz budowy, *A. Stelmach*, który zdradził Działoszyn na rzecz Radomska, a od 16 lat wędruje z budowy na budowę po województwie. Mówią o nim: zna zawód, dobry organizator, sumienny i pracowity, wzorowy kolega.

— *Pana mogą odstraszyć te wykopy* — mówi — *ale już niedługo zasypie się wszystkie kanały, kable, przewody ciepłownicze i będzie dobrze! Z wierzchu może tej naszej roboty nie widać, ona kryje się właśnie pod ziemią. W ziemi leży 25 tys. m sześc. betonu...*

— *Widział pan maszyny na placu?* — pyta.

— *Widziałem.*

— *Jak pan myśli? Jest ich wystarczająco dużo?*

No, ja się na tym nie znam, ale za dużo to ich chyba nie ma. A niektóre to „wraki". Kłopoty ze sprzętem są na każdej budowie. I z transportem. W radomszczańskim *„Mostostalu"* brakuje kierowców. Teren ciężki, wozy mało sprawne, zarobki niewielkie. Nieuchwytni młodzi technicy budowlani, którzy zezem patrzą na kufajki i gumiaki.

Ale większość zatrudnionych, nawet tych dowożonych ze wsi pięcioma autokarami, to twardzi, wypróbowani budowlańcy. Ci z brygady montażowej *Switonia*, z brygady betoniarskiej *Kostrzewy i Nieznańskiego*, murarskiej *Pędziwiatra i Motylskiego*.

Są na styku z planem. Zbudowali 50 proc. dróg. Na 35 wszystkich obiektów, w tym roku oddadzą obiekty towarzyszące i niezbędne do uruchomienia wstępnej produkcji oraz wykonują roboty uzbrojeniowe. Ta wielka, główna hala zostanie oddana do użytku w 74 r. Czy wygrają pojedynek z czasem na tym gliniastym polu?

Najważniejsze postanowienie: skrócić cykl budowy o pół roku. Są pewni, bo to profit dla nich i dla państwa, że *Wytwórnia Konstrukcji Stalowych w Radomsku* będzie gotowa na 22 lipca 1974 r. Jedna z największych i najnowocześniejszych w Europie, główny podpartner dla *Huty „Katowice"*, o docelowej produkcji 60 tys. ton konstrukcji stalowych rocznie, zatrudniająca 2100 osób.

Będzie to zadanie niełatwe, jak niełatwe są warunki ich życia. Ciasnota i nuda hotelowa, karty lub telewizja. Kupa radości, kiedy dobry mecz, potem wielkie fetowanie przy wygranej Polaków.

Posiłki. Zupy regeneracyjne, suchy prowiant w kiosku spożywczym. Niektórzy pichcą sami obiady. Innym pozostają knajpy: „Zacisze", „Popularna" albo „Turystyczna". Ten i ów od czasu do czasu zaliczy kino, obejrzy kościół św. Lamberta. Niemen nie przyjeżdża już do Radomska.

Młodzi zakręcą się koło dziewczyn z „Komuny Paryskiej" i Huty Szkła Gospodarczego, a starszych, choć żartują w rozmowie z reporterem, że tęsknota za domem...

KANDYDUJĄ DO RAD NARODOWYCH

WIESŁAW GARBOLIŃSKI

Fot. Archiwum

Znany i ceniony łódzki artysta plastyk. Studia artystyczne ukończył w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, potem przez trzy lata był na aspiranturze w Instytucie Malarstwa, Rzeźby i Architektury w Leningradzie. Od roku 1972 jest prezesem łódzkiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Przedtem przez trzy kadencje pełnił funkcję wiceprezesa tego Związku.

— Jeśli zostanę radnym — **mówi Wiesław Garboliński** — to oczywiście będą mnie interesowały głównie sprawy kultury zawsze mi najbliższe i najbardziej znane. Do tej pory, z racji zawodu i pełnionych funkcji społecznych zajmowałem się głównie problemami plastyki. Zdaję sobie sprawę, że jako radny będę musiał zająć się sprawami kultury w szerszym pojęciu.

Mam nadzieję, że jako radny, miałbym większe możliwości do działania w zakresie tzw. integracji wszystkich łódzkich środowisk twórczych. Niemożliwy jest bowiem wszechstronny rozwój sztuki i kultury bez współdziałania twórców i działaczy kulturalnych z różnych dziedzin.

Następna sprawa — będę walczył i to nieustępliwie o rozwój bazy materialnej dla kultury w Łodzi, bazy, która według mnie jest warunkiem szybkiego i prężniejszego niż dotychczas rozwoju kultury.

Wydaje mi się, że sporo jeszcze jest do zrobienia w dziedzinie wprowadzania nowych sposobów upowszechniania kultury i to w różnych dziedzinach. Będę dążył do tego, żeby łódzkie społeczeństwo było nie tylko biernym odbiorcą sztuki i kultury, ale także współtwórcą w szerokim znaczeniu tego pojęcia.

JAN ŁUKASIK

Fot. E. Kudaj

Jan Łukasik — artysta plastyk i prawnik, już po raz trzeci kandyduje do Rady Narodowej m. Łodzi. Jako artysta ma na swym koncie siedem indywidualnych wystaw oraz udział w wielu wystawach zbiorowych. W latach 1957—59 był prezesem łódzkiego oddziału ZPAP. Obecnie jest radcą prawnym w Zakładach Artystycznych ZPAP, których jest — nawiasem mówiąc — jednym ze współtwórców. Powstały, one właśnie w czasie, kiedy Jan Łukasik pełnił funkcję prezesa oddziału ZPAP.

Jak widzi swoją rolę w radzie narodowej? Co będzie go szczególnie interesowało w pracach rady? Jakie problemy uważa za najważniejsze?

— **Otóż** — mówi Jan Łukasik — **konieczna jest dalsza rozbudowa bazy i tworzenie lepszych warunków dla twórców kultury oraz szersze niż dotąd korzystanie społeczeństwa z dóbr kultury.**

— **Należy działać w takim kierunku** — mówi Jan Łukasik — **aby podnosić dotychczasowy poziom działalności kulturalnej, aby Łódź uzyskiwała wciąż wyższą rangę kulturalną. Należy także zabiegać o nadanie większego znaczenia twórcom — projektantom pracującym w przemyśle. Ogromna jest także rola plastyka w kształtowaniu przestrzeni — wspólnie z architektem artysta może w tej dziedzinie stworzyć rzeczy piękne i trwałe. Potrzebna jest także ingerencja plastyka w kształtowaniu wnętrz przemysłowych oraz wnętrz obiektów o przeznaczeniu społecznym.**

Bardzo istotną sprawą jest także stworzenie regionalnego mecenatu nad sztuką. W związku z rozbudową w śródmieściu centrum kultury (galeria, filharmonia, kina o wysokim standardzie) należy zrobić wszystko, aby stworzyć warunki do rozpoczęcia prac najpóźniej w początku 1975 roku.

KANDYDUJĄ DO RAD NARODOWYCH

WOJCIECH PILARSKI

Fot. Archiwum

Przywykło się u nas patrzeć na problematykę kultury poprzez sprawy bazy. To prawda: zarówno profesjonalne placówki kulturalne jak też cała sieć amatorskiego ruchu artystycznego są niedoinwestowane i potrzeba będzie wielu nakładów, ażeby zapewnić dalszy ich rozwój. Wydaje mi się jednak, że słuszna jest tendencja, aby na sprawy kultury patrzeć nie tylko poprzez zagadnienia bazy, aby umieć dostrzec wartości, które przy jej pomocy można upowszechniać. Mówię to nie bez przyczyny, ponieważ jestem aktorem i widzę te wszystkie sprawy poprzez własne doświadczenie teatralne. Ideowe oblicze kultury wydaje mi się zagadnieniem pierwszoplanowym.

W tej chwili teatry podlegają rozmaitym presjom, przede wszystkim natury materialnej. To zmusza nas niekiedy do artystycznych kompromisów. Jest to sytuacja złożona, bo sukces kasowy nie zawsze musi iść w parze z sukcesem artystycznym i odwrotnie. Ideałem byłoby, gdyby widz przychodził do kasy teatralnej bez pośredników. Szereg realizacji scenicznych potwierdza zasadę, że teatr idący po linii najmniejszego oporu może się obyć bez organizatorów widowni. Ale pozycje trudniejsze, ambitniejsze wymagają często pośredników.

Wychowanie aktywnych, wrażliwych odbiorców jest ważnym zadaniem, wymagającym współdziałania wszystkich placówek kulturalnych. Stąd istotne jest ustalenie jasnych kryteriów, co uznamy w naszym współczesnym dorobku za ważne, zwłaszcza że w Łodzi, w mieście migracji ludnościowych, sprawy te komplikują się szczególnie. Myślę, że wypracowanie tych kryteriów jest zadaniem ważnym.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Fot. J. Głowacki

Zastępcą redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego", publicysta zajmujący się sprawami ekonomicznymi. Urodził się w Łodzi w 1932 roku na tzw. Szlezingu. Jest absolwentem Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Od 1956 roku pracuje w „Głosie Robotniczym", najpierw jako publicysta, a później kierownik działu partyjno-ekonomicznego. W 1962 roku otrzymał nagrodę dziennikarską im. Juliana Bruna.

— Do rady narodowej kandyduję pierwszy raz — mówi Krzysztof Pogorzelec. — Wysunięcie mojej kandydatury traktuję jako wyraz uznania dla mojej wieloletniej działalności publicystycznej. Przez te lata zajmowałem się sprawami gospodarczymi. Jeśli zostanę radnym, to chciałbym również na forum rady narodowej główną uwagę poświęcić problemom związków gospodarki i nauki.

Przez ostatnie lata dokonaliśmy w Łodzi wielu istotnych zmian, ale stanowią one dopiero początek realizacji programu modernizacji i przebudowy miasta i jego przemysłu. Dalszy postęp może dokonywać się tylko przy większym wykorzystaniu istniejącego tu potencjału naukowego, przy większym związaniu go z przemysłem. Wzrost rangi Łodzi rozumiem przede wszystkim jako wykorzystanie również w skali kraju posiadanego tu zaplecza naukowo-technicznego.

Łódź jest już na mapie kraju poważnym ośrodkiem naukowym, ale może i powinna stać się jeszcze znaczniejszym. Jeśli rada narodowa w nowym kształcie ma spełniać rolę inspiratora i koordynatora wszelkich poczynań społeczno-gospodarczych, ma wiązać interesy regionu z interesami kraju, to wiele swej uwagi będzie poświęcała właśnie sprawom rozwoju nauki i pełniejszego niż do tej pory wiązania osiągnięć naukowych z praktyką przemysłu. A dokonać tego będzie można poprzez intensywniejszy rozwój placówek naukowych, stworzenie warunków dla efektywniejszego — w sensie praktycznym — działania.

Dalszy ciąg ze str. 1

studenta lub studentkę na biwaku nie obawiajmy się natychmiast złamania przez nich ślubów („będę studiował systematycznie i pilnie...") Ruch na świeżym powietrzu z pewnością dobrze im zrobi.

Poświęcam tym sprawom nieco uwagi z dwóch względów. Jeden — to obchodzone w tych dniach — przy akompaniamencie okolicznościowych piosenek — uroczystości 15-lecia turystyki studenckiej i 10-lecia Międzyuczelnianego Oddziału PTT-K w Łodzi. Wzgląd drugi to naturalnie pogoda. Kiedyż bowiem lepiej, jeśli nie w długie, listopadowe wieczory,

SIEDZĄC W POBLIŻU KALORYFERA

wspominać zapach ogniska rozpalonego nad Gwdą, szum lasu nad Wdzydzami czy tę... no... muszelkę znalezioną w Swornychgaciach.

Eh, lato, lato... Łza się kręci w oku, katar w nosie i aż wierzyć się nie chce, że początki studenckiej turystyki sięgają czasów niejakiej Nowojki, która przed paroma wiekami (patrz Wielka Encyklopedia Powszechna PWN) przywędrowała z daleka do miasta Krakowa w pogoni za wiedzą, w onych czasach niewiastom wzbronioną, co ją najlepiej na patronkę studenckiej turystyki rekomenduje.

W Łodzi — mieście zacnym i w młódź studencką z roku na rok coraz bardziej obfitującym — turystycznego studenckiego patrona upatrywać by trzeba najpewniej w „Stonodze". Taką bowiem wdzięczną nazwę przyjął 6 marca 1959 roku Akademicki Klub Turystyczny, powołany do życia przez grupę zapaleńców — studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Zaś sama nazwa wzięła się ponoć od ilości nóg, które, nie bacząc na marcową pluchę, stawiły się na zebranie założycielskie. Na początek nogi owe poszły w miasto i jego mało jeszcze znane niektórym, acz ciekawe opłotki, zapoczątkowując w ten sposób zwyczaj coniedzielnych wycieczek pieszych, na które naprawdę nie brakowało chętnych. W ciągu jednego roku uzbierało się ich tysiąc, co w przeliczeniu na nogi nabiera jeszcze wspanialszej wymowy, tym bardziej, że od wędrówek i spacerów nie stroniły także studentki.

Eh... byłyż to czasy trudności pokonywanych „z marszu", czasy wielkich improwizacji i wytyczania szlaków pod przyszłe i coraz dalsze studenckie wojaże. Nie zawsze szło to prosto i łatwo, aż pewnego dnia — za namową i radą członków „Stonogi" — opanowani przez nałóg turystyki studenci obojga płci postanowili zewrzeć szeregi pod patronatem i godłem PTT-K (zielona mapa Polski z igłą kompasową pośrodku) — powołując w Łodzi Międzyuczelniany Oddział tego Towarzystwa.

Od tych to czasów studencka turystyka ruszyła z górki. W ciągu następnych lat zaczęło przybywać — jak grzybów po deszczu — imprez, rajdów, wycieczek. Studenci Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Medycznej wyprawiali się rokrocznie na wędrówki po Ziemi Łódzkiej, „Rajdy Andrzejkowe", wycieczki po Górach Świętokrzyskich, Jurze Częstochowskiej i innych równie przepięknych terenach. Jeden ze studentów Politechniki okazał się tak zapamiętałym turystą, iż zawędrował — w poszukiwaniu żony zresztą — aż na Hawaje, gdzie znalazł ponoć, jak wieść niesie, nie tylko małżonkę, ale i posadę gubernatora...

Nie przytaczam zresztą tego przykładu gwoli udowodnienia korzyści płynących z uprawiania turystyki, choć niejedno udane studenckie małżeństwo zawiązało się właśnie dzięki wspólnej namiętności

DO WĘDRÓWEK W SINĄ DAL

Istnieje zresztą środowiskowy klub turystyczny o takiej właśnie nazwie, a obok niego także „Platfusik", „Płazik" i inne, w których nie brakuje miłośników turystyki i świeżego powietrza. Z biegiem lat studenci — zwolennicy poszczególnych dyscyplin turystycznych zaczęli się jednoczyć i realizować swoje pomysły o małej, średniej i wielkiej przygodzie — w ramach klubów specjalistycznych. Najstarszym z takich klubów jest Akademicki Klub Żeglarski SZSP-AZS. Obecnie skupia on 538 członków, którym niewiele rzeczy — z wyjątkiem podróży dookoła świata (pod żaglem naturalnie) jest w stanie wynagrodzić dotkliwy ból z powodu braku w Łodzi rzeki lub chociażby paru śniardwopodobnych jezior. Ów głęboki żal nie przeszkadza im jednak w znalezieniu drogi do wody i używania w celach żeglarskich wszystkiego co się na niej utrzymuje.

Pływają więc i szkolą się gdzie tylko można. Na początek — teoretycznie, czyli na sucho — w Łodzi, a potem ruszają w Polskę w poszukiwaniu akwenów, na których mogliby sprawdzić swoje żeglarskie umiejętności. Przysporzyli w ten sposób miastu (z łódką w herbie!!!); 2 jachtowych kapitanów żeglugi wielkiej, 6 jachtowych kapitanów żeglugi bałtyckiej, 22 jachtowych sterników morskich, 83 sterników jachtowych oraz mnóstwo szeregowych żeglarzy, oddanych całą duszą wodzie, wiatrowi i tym tam... bomom, likom, fałom, ref-sejzingom, szpigatom, że o dziobie, rufie i kokpicie nie wspomnę. Urządzają co roku obozy żeglarskie, w 1972 roku na s/y „Conrad" popłynęli aż na Islandię, wygłaszają także odczyty i prelekcje przekonując wszystkich niewiernych i strachliwych, że woda to żywioł, z którego pięknem i wspaniałością nic na świecie nie może się równać, zaś w wolnych chwilach marzą o swoim własnym i z pewnością wspaniałym jachcie pełnomorskim. Przy jego budowie zobowiązali się przepracować społecznie 15 tys. godzin, których wartość — 150 tys. zł powinna przyśpieszyć chwilę, kiedy to na rufie jachtu — jako nazwę portu macierzystego — będą mogli wymalować słowo: Łódź.

Są jednak wśród studentów ludzie, którzy nad uroki psiej wachty w czasie sztormu na Bałtyku przedkładają przyjemność rytmicznego podskakiwania na końskim grzbiecie. Zapatrzonych w ułańskie tradycje i westernowe galopady „koniarzy" znaleźć można w Akademickim Klubie Jeździeckim, liczącym sobie 200 członków i działającym w oparciu o własną bazę — Ośrodek Jeździecki w Bogusławicach. Wprawdzie koni jest znacznie mniej niż chętnych do przejażdżki stępa, kłusem lub w kontrolowanym pośl... to jest chciałem powiedzieć — galopie, ale stojąc w kolejce do końskich pleców, pocieszać się można myślą, iż pogłowie karych, gniadych i bułanych pięknie nam rośnie, a akcje „owsianego napędu" ciągle idą w górę.

Postawiwszy więc na właściwego konia student w siodle trzyma się ponoć nieźle i niełatwo daje się stamtąd wysadzić, co niewątpliwie wiąże się także z wytrzymałością nabytą w trakcie kolejnych sesji egzaminacyjnych i zaliczeń. Żeby się jednak komuś nie wydawało, że studencki koński „konik" to tylko zabawa i nieszkodliwe hobby, przytoczę fakt, iż w Akademickich Jeździeckich Mistrzostwach Polski, jakie odbyły się w końcu września br. w Poznaniu — najwyższe zespołowe trofeum zdobyli właśnie łodzianie, zaś w konkursie ujeżdżania konia tytuł wicemistrza Polski zdobył również student z Łodzi — Maciej Zalewski. Howgh!

Były żagle, były konie — brakuje tylko desek. Naturalnie dwóch — z zagiętymi z jednej strony do góry końcami i przypiętym do nich (mniej więcej pośrodku) studentem — szusującym odważnie z rozmaitych gór, górek i pagórków: Akademicki Klub Narciarski łączy ludzi, którzy z braku w Łodzi Kasprowego, ewentualnie Gubałówki, ukochali smardzewskie wzgórze, z braku śniegu w grudniu lub w styczniu — wpadają w białą tzw. narciarską rozpacz, a z nadmiaru miłości do nart gotowi są namówić do tego sportu każdego — nie wyłączając penetracji szeregów tych, którzy zaprzedali się żaglom lub koniowi.

Nieco zbliżony — bardziej terytorialnie niż technicznie — charakter turystycznych namiętności wykazują członkowie Akademickiego Klubu Turystów Górskich. Marzeniem większości z nich jest postawienie nogi na szczytach czyli

U CZUBKÓW NAJWYŻSZYCH GÓR ŚWIATA

Dowodem na to, że wiara istotnie „przenosi góry" jest zorganizowanie w tym roku I Wyprawy Studentów Łódzkich w góry Iranu. Brawo! Uczestnicy wyprawy przywieźli do kraju wiele ciekawych trofeów naukowych, zaliczając także najwyższy szczyt Iranu — Demawendu — mierzący sobie — bagatelka! — 5671 metrów. Członkowie tego, niby raczkującego jeszcze, młodego klubu, mają już za sobą udane wspinaczki na Zachodniej Ścianie Mnicha Żabiego, Kazalnicy Mięguszowieckiej oraz w Alpach Julijskich w Jugosławii.

Nie wiem, czy wolno mi także informować już o przygotowaniach do oficjalnego — urzędowego — zdobycia Rudzkiej Góry. Ów doskonale znany łodzianom szczyt ma się bowiem stać, jak słyszałem, miejscem bojowego chrztu wszystkich łódzkich taterników i alpinistów, wstępujących na trudną i zwykle kamienistą drogę wspinaczki górskiej. Sądzę, że hasło, które niniejszym rzucam na świat i w Polskę: **„W HIMALAJE PRZEZ RUDZKĄ GÓRĘ!"** — może nam załatwić wiele rzeczy. Np. kiosk z bigosem na szczycie, upragniony tor saneczkowy, obiecaną dawno skocznię narciarską, a kto wie — jak dobrze pójdzie — to z chmarą dolarowych turystów zjawi się może pod Łodzią spróbować swoich sił jakiś Tenzing lub Bonatti...? Proszę bardzo. Któryś z wspomnianych panów, zapytany o to, dlaczego się wspina na coraz to nowe i nowe góry — odpowiedział ponoć: **„bo istnieją..."** O Rudzkiej Górze można to samo powiedzieć pod najświętszą przysięgą. Voila! Welcome everybody!...

Ale, ale... Wdałem się tu w dygresje, podczas gdy o studenckiej turystyce, o jej siłach i zamiarach, bolączkach i sukcesach można by jeszcze mówić i mówić. Tylko — po co? Wiadomo przecież, że gdzie jak gdzie, ale w turystyce gadaniem daleko nie zajdzie. Czy nie lepiej byłoby więc spakować plecak (najlepiej w przyszłym roku, z wiosną, jak się nieco ociepli) rozejrzeć się za szansą wypożyczenia jakiegoś namiotu, zrobić parę przysiadów, i zawołać... Właśnie — ale co?

„W Polskę idziemy, drodzy panowie..."

Owszem, to zawołanie byłoby nawet niezłe. Tyle tylko, że jest już za późno. Były student i praktykujący turysta — niejaki Wojciech Młynarski — odebrał tym słowom wszelką pozytywną, turystyczną wymowę, a obywatel i artysta Golas dokonał ich wstrząsającej i niemożliwej do powtórzenia interpretacji. Przepadło. Trzeba będzie wymyślić coś nowego. Najlepiej na studenckich wczasach...

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

Fot. Z. Gorzkiewicz

STUDENT NA BIWAKU

Dalszy ciąg ze str. 1

wiedział mi mój młodzieżowiec: muzyka jest w radio dla nich, a my, starzy, już powinniśmy nie tylko ustąpić, ale nie wtrącać się do młodzieżowej muzyki, która jest po większej części dla nich, a słuchanie różnych pogadanek czy porad, lub ciekawych artykułów to dla chorych i gospodyń domowych, już średnio starszych jak ja.

PAN, Biblioteka „Ossolineum" posiada w swoich olbrzymich zbiorach przerozne wspomnienia, pamiątki, krótsze czy dłuższe chętnie będą przez młodzież słuchane. Sugeruję się tym, że w chłopięcym wieku mój młodzieżowiec lubił i nawet z niecierpliwością czekał i słuchał ładnych opowiadań, a dziś mówi, **że nie ma opowiadań ciekawych** w wolnych godzinach młodzieżowych (16,00—19,30), bo on nie ma nic do roboty i mu się nudzi i dlatego słucha muzyki. Proszę sobie wyobrazić mnie pracującą stale w domu (chałupniczo) i stale z przymusem słuchającą muzyki, jakie ja mam w sobie kłębowisko nerwów. Przyjdzie niedziela — jak nie radio I i II program, to telewizor, całutki boży dzionek.

Gdzie nasi specjaliści od łączenia zdrowia i spokoju z rozrywką? Czy nasi pieśniarze i muzycy nie chcą spokoju i choć jednej godziny zupełnej ciszy w ciągu dnia? To dla zdrowia konieczne nawet w młodzieżowym wieku.

Były swego czasu krótkie opowiadania o pracy pracowników służby kryminalnej, chętnie mój młodzieżowiec ich słuchał, ale nic z tych rzeczy w naszym kochanym radio, mogą być odcinkowe tak, jak czytanie książek o przeróżnej tematyce. Prosimy, kochany Panie Redaktorze Widok, zrób coś, żeby zmniejszono ilość młodzieżowej muzyki w radio, a w Dniu Dziennikarza ucałuję Cię na środku Piotrkowskiej. Dobrze? (mąż na to zezwala).

CZYTELNICZKA

„PRENUMERATA"

Już od dłuższego czasu jestem Waszym czytelnikiem. Dotychczas kupowałem „Odgłosy" w kiosku. Chcąc sobie zapewnić systematyczne otrzymywanie Waszego pisma, zaprenumerowałem je u listonosza UPT SILNICZKA na IV kwartał br. Minęło już półtora miesiąca tego kwartału, a ja otrzymałem „Odgłosy" tylko za pierwsze dwa tygodnie października i za pierwszy tydzień listopada i to każdorazowo z przeszło tygodniowym opóźnieniem. Na moje pytania, listonosz odpowiada, że albo nie otrzymuje w ogóle, albo otrzymuje z opóźnieniem i on na to nic nie może poradzić.

Bardzo bym prosił Redakcję o interwencję w tej sprawie, za co z góry dziękuję.

Załączam pozdrowienia dla całego Zespołu Redakcyjnego.

H. GRABOWSKI
(Łazów, pow. Radomsko)

Od redakcji:
Publikując powyższy list, przekazujemy go pod uwagę POCZCIE i „RUCHOWI". Autora zapewniamy, że będziemy interweniowali.

„POKAZ MODY"

Nawiązując do artykułu „Pokaz mody", zamieszczonego w nr 43 „Odgłosów" pragniemy powiadomić, że anonsowany przez nas „POKAZ MODY sprzętu radiowo-telewizyjnego..." odbył się z powodzeniem oraz korzyścią dla społeczeństwa i przedsiębiorstwa. Informacja o sprzęcie radiowym i telewizyjnym jest bardzo potrzebna, o czym przekonaliśmy się podczas ostatniego pokazu, na którym były tłumy ludzi.

W ramach pokazu mody odtwarzaliśmy nowe, modne melodie na modnej ostatnio aparaturze stereofonicznej. Uczestnicy pokazu, szczególnie młodzi, interesowali się nowymi, modnymi kształtami oraz kolorem skrzynek odbiorników, modnymi obecnie gałkami, wystrojem zewnętrznym itp. Oprócz modnych linii skrzynek odbiorników prezentowaliśmy również nowoczesne rozwiązania konstrukcyjne i techniczne w gramofonach, odbiornikach radiowych i telewizyjnych oraz magnetofonach.

Istnieje duża różnica w sprzęcie, który jest obecnie prezentowany klientom, w porównaniu do tegoż sprzętu oferowanego klientom do sprzedaży jeszcze dwa lata temu. Na ostatnich Targach Poznańskich ta różnica była bardzo widoczna i niemodne linie obudowy sprzętu radiowo-telewizyjnego nie interesowały zwiedzających, którzy są naszymi potencjalnymi klientami. Odnośnie przypuszczeń autora artykułu pt. „Pokaz mody", że wkrótce dojdziemy do pokazu mody wanien, sedesów i umywalek, pragniemy zakomunikować, iż zgodnie z modą na Targach Poznańskich zwiedzających zachwycały pięknie i gustownie pokazane kolorowe łazienki włoskie. Moda istnieje więc nie tylko w t. zw. „ciuchach".

Obrana przez nas nazwa pokazu sprzętu radiowo-telewizyjnego nie jest więc czymś absurdalnym, co z uporem godnym lepszej sprawy sugeruje czytelnikom „Odgłosów" autor artykułu pt. „Pokaz mody". Widzimy konieczność dalszego, stałego informowania szerokiego ogółu społeczeństwa o nowym sprzęcie radiowo-telewizyjnym i nowościach technicznych właśnie poprzez organizowanie pokazów mody sprzętu naszej branży. Sądzimy, że artykuł pt. „Pokaz mody" opublikowany w tak poczytnym tygodniku, jakim są „Odgłosy", wzbudzi zainteresowanie czytelników organizowanymi przez nas imprezami. Dziękujemy uprzejmie autorowi artykułu za mimowolną reklamę i popularyzację naszego przedsiębiorstwa.

Dyrektor mgr J. ZAWADZKI

Nie mam nic przeciwko reklamie. Przeciwnie, zawsze uważałem, że to, co z uporem nazywamy reklamą, dalekie jest od tego, co reklamą być powinno.

Jestem natomiast, byłem i będę zawsze przeciw nadużywaniu słów: moda, nowoczesność — jak w tym wypadku — i wszystkich innych we wszystkich innych wypadkach. Nowe słowo, nowy termin nie zmieniają jeszcze istoty rzeczy. Zgadzam się w zupełności, że ZURT potrzebuje reklamy, a jego potencjalni klienci — rzetelnej i wyczerpującej informacji. I serdecznie życzę oryginalnych i pożytecznych pomysłów.

MARCIN RODAK

DOMOWE OGNISKO

Wizyta w domu Dorotki dobiega końca.

U SĄSIADKI

Wychodzimy. Na korytarzu proponuję nauczycielce odwiedzić jeszcze sąsiadkę Dorotki, która pierwsza zauważyła u małego Stasia niebezpieczną krzywicę.

Kobieta rozkłada ręce.

— Że też Bóg nie pokarze takich rodziców. Przecież bydlę ma więcej serca dla swoich dzieci... Gdyby nie Dorotka, to te maleństwa dawno by już poumierały z głodu. Jedno najmłodsze i tak zmarło, jakieś pół roku temu na zapalenie płuc. Miało chyba dwa lata. Nie uwierzycie. Przez trzy dni leżało w domu. Nie miał kto pochować. Dopiero jak się lokatorzy dowiedzieli, zrobił się straszny szum... i wtedy pochowali. Gdzie im tam w głowie dzieci. Matka niczego poza wódką nie widzi. W domu wszyscy wiedzą, że to nałogowa alkoholiczka. A jak alkohol to wiecie co jeszcze — łajdactwo i nędza. Ojciec też nie lepszy. Kiedyś, nie powiem, był inny. Pracował jak ten wół. Ma dobry zawód — kierowca. Jak przyszedł sezon, jeździł po czternaście i więcej godzin dziennie. Rozwoził u prywaciarza oranżadę i wodę sodową. Zarabiał dużo pieniędzy. W domu nie było biedy. Ale jak zobaczył, co robi żona — machnął na wszystko ręką. Teraz razem piją na umór. Ładny mi kierowca — alkoholik. Chyba wyrzucą go z pracy. To skończeni ludzie. Machnijcie na nich ręka, ale ratujcie dzieci. Przecież Dorotka to jeszcze dziecko. Człowiek dorosły mógłby się przy takich obowiązkach załamać, a co dopiero czternastoletnia dziewczynka. Gdzież ona ma czas na naukę. Przed wakacjami mówiła mi, że pojedzie na kolonie. Wszystko już było załatwione. Nawet szkoła opłaciła wyjazd. Myślicie, że pojechała? A kto opiekowałby się tym drobiazgiem?

— Trzeba będzie natychmiast zabrać dzieci do domu dziecka — zwracam się do nauczycielki. — Dalsze ich przebywanie w tym środowisku grozi katastrofą. Proszę natychmiast powiadomić Sąd dla Nieletnich.

W podobnych przypadkach Sąd wydaje postanowienie o umieszczeniu nieletnich w placówkach opiekuńczo-wychowawczych w trybie natychmiastowym.

CZY JUŻ SZCZĘŚLIWE?

Kilka dni temu odwiedziłem Dorotkę i jej rodzeństwo w domu dziecka. Patrząc na tę dzieciarnię zrozumiałem, że nie jest szczęśliwa, że ten czysty i ciepły dom bez pijackich burd i krzyków, dom, w którym można spokojnie odrobić lekcje, bawić się pięknymi zabawkami i zjeść smaczny posiłek, jest dla niej pusty i smutny. Wiem, że w ich domu odzyskanego dzieciństwa musi być matka i ojciec. Wszystko inne jest tylko dodatkiem do szczęścia. I choć pragną tego z całego serca — nie od nich to zależy.

PYTANIA

A rodzice? Co robią teraz rodzice? Czy zostali ukarani?

Żyją jak dawniej tylko już bez niepotrzebnego balastu — dzieci. Chociaż — nie. Coś się jednak zmieniło. „Mamusia" spodziewa się następnego dziecka. Po urodzeniu też trzeba będzie je szybko zabrać do domu dziecka. „Tatusia" wyrzucili z pracy. I jeszcze jedno. Choć to brzmi paradoksalnie — poprawie uległa ich sytuacja materialna. Nie muszą już żywić i ubierać dzieci.

Pozostało więcej na wódkę i wino.

Skąd mają pieniądze? Ano, właśnie, skąd... Za pobyt dzieci w domu dziecka oczywiście nie płacą. Nie mają pieniędzy. Przecież nie pracują. Zresztą nie muszą. Praca jest zaszczytem, nie zaś obowiązkiem. Z mieszkania też im komornik nic nie zabierze. Chyba te brudne, podziurawione ściany.

Miesięczny koszt utrzymania wychowanka w domu dziecka wynosi około 2.500 zł. To jest podatek, który między innymi płaci społeczeństwo na rzecz marginesu społecznego.

TADEUSZ MICHALSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Proszę pani — pyta Dorotka — czy mogę przygotować dzieciom śniadanie. Nic dzisiaj jeszcze nie jadły.

— Nic nie jadły? Dlaczego? Przecież dochodzi już 13.

— Dzisiaj do 3 nad ranem byli u nas goście. Bardzo hałasowali, a poza tym... Przerywa — to ja już przygotuję to śniadanie.

— Dokończ, Dorotko. Co chciałaś jeszcze powiedzieć? — Dziecko opuszcza głowę. — Proszę pani — mówi cichutko — rano nie miałam pieniędzy. Mama długo spała. Bałam się ją zbudzić.

— Marek, Kasiu — obudźcie się, śniadanie gotowe!

Zaspane oczy dzieciaków przyglądają się nam ciekawie. Dorotka podaje dziecku kawałek suchego chleba.

— Dorotka — mówi Krzysio — mogę wziąć sobie jeszcze chleba? I nie czekając na odpowiedź chwyta za nóż i kroi im grubą kromkę.

— Muszę was jeszcze umyć — wskazuje na Marka i Kasię. — Jesteście takie brudne, że strach patrzeć.

ROZMOWA Z OJCEM

— Dorotko — zwracam się do dziewczynki — chciałbym porozmawiać z twoim ojcem. Czy mogłabyś go obudzić?

Wchodzi do drugiego pokoju — zostawiając uchylone drzwi. — Tato, wstań. Przyszła moja nauczycielka z jednym panem. Chcieli z tobą rozmawiać. Tato wstań, no, wstań...

— Mówiłem ci, do cholery, żebyś mnie nie budziła. G... mnie to wszystko obchodzi. Głowa mi pęka. Niech przyjdą później. Skocz no po piwo, tylko szybko.

Po policzkach dziecka spływają łzy.

— Proszę pana, tata powiedział...

— Wiem, co powiedział — przerywam. — Uspokój się, kochanie, uspokój...

Fot. Archiwum

POCZTA LITERACKA

St. A. Łódź. Wprawdzie „Poczta literacka" nie jest poradnikiem językowym, ale skoro się Pani zwróciła, robię ten wyjątek. Autorytetem w tym względzie jest na pewno „Mały Słownik Języka Polskiego", str. 439: „nie" — „tworzy przymiotniki pochodne od przymiotników, oznaczające zwykłe zaprzeczenie cechy oznaczonej przez przymiotnik podstawowy (...) np. niebolesny, niedrogi...". Tak więc „niecbojętny" — podobnie jak „nieczuły", „niewrażliwy" pisze się r a z e m.

Tadeusz K. Warszawa. Szantażyk dość typowy. Pisze Pan, że jeśli naprawdę liczymy się z reakcją Czytelników, jeśli naprawdę „Odgłosy" wyrażają życzenia Czytelników, powinny nas zainteresować Pana wiersze. Nie wnikając w tajemnicę, skąd Pan bierze tę wiedzę na temat pragnień rzesz czytelniczych, drukujemy wiersz „Zachwyt i ulga":

Powstałaś z oddechu natury
Woda słońcem pieszczona
dała ci oczy,
Zefir lekkość
Wenus koturny
Ramiona liany wzięły
umiejętność splotu

Dobrze jest widzieć ciebie
znowu
Przychodząc
ulgę przynosisz
wyobraźni zmęczonej
i przypominasz, że mogę
powiedzieć
o tobie
Hania

Być może Czytelnik po przeczytaniu dozna ulgi. Co do zachwytu — nie wiadomo.

Danuta Z. Łódź. Pisze Pani: **„Dla wytchnienia i przyjemności piszę czasami wiersze. Nie wiem, czy są ładne, czy wartościowe. Mnie one przynoszą ukojenie..."**

To już dobrze, bo pisanie jest szczere. Wiersze są jednak bardzo nieporadne i nie do druku, ale — prawdę mówiąc — wolę je od tych przysyłanych mi na kopy rymowanek **„na okoliczność"**. Za Pani wierszami kryje się autentyczne ludzkie doznanie, za tamtymi — niestety — najczęściej tylko chęć druku.

Henryk M. Lublin. To już jest poezja. Nie powiem, jaka jej skala, bo tego się nie mierzy centymetrem, ani też nie potrafię stawiać takich diagnoz. Ale to jest poezja. I wierzę, że tą drogą pójdzie Pan sam, bez niczyjej pomocy. Może więc tylko ta uwaga że czasem ponosi Pana słowo i konstrukcja wiersza nieco się rozluźnia. Tak jest na przykład w drugiej strofie wiersza **„Rodzice"**, tak jest w bardzo dobrym **„Oczekiwaniu"**... Ale do tych konstatacji dojdzie Pan sam, bowiem pisze Pan prawdziwe wiersze...

Wiesław D. Łódź. Pochwaliłem Pana kiedyś, za dwie czy trzy metafory, więc wykorzystał je Pan, aby napisać nowy wiersz. Ale metafory to nie części zamienne — muszą wynikać z wiersza, jego nastroju atmosfery... Takie zabiegi, jakich Pan dokonał z wierszem **„Późnym wieczorem"** rzadko wychodzą utworowi na dobre. Natomiast najbardziej mi się podoba wiersz dla Matki. Jest w nim owe nieuchwytne **„coś"**, które sprawia, że wiersz wyraża więcej niż to powiedziano przy pomocy słów.

Mieczysław S. Łódź. I w Pana wierszach da się ocalić sporo, ale są one bardzo nierówne. Przede wszystkim jednak niech Pan się nie bawi w te **„relaksowe"** wiersze. Poezja to nie relaks, a te Pana **„satyrki"** są, przepraszam, niemądre. Banalny jak rzadko jest **„Opis lata"**, ale już wiele zapowiada wiersz **„Zostawiasz niedopity strumień..."** Intrygujący jest **„Telegram"** z tym przejściem od **„operacja nieudana"** do frazy **„w głowie mi się kręci — nie wiem czy od piwa, czy od śmierci..."** W sumie próby są interesujące.

KRYTYK

KANDYDUJĄ DO RAD NARODOWYCH

IGOR SIKIRYCKI

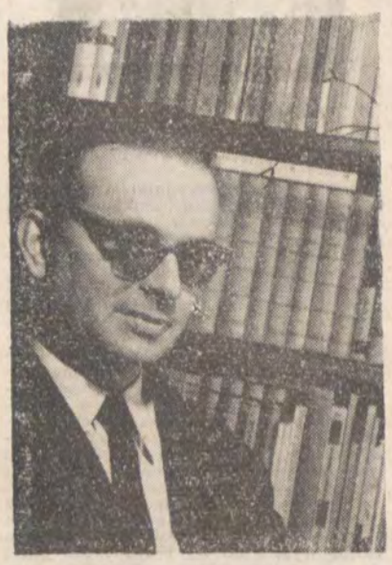

Fot. Gerard Puciato

Na spotkaniu z wyborcami Widzewa I Sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski mówił o zależności między przyśpieszonym rozwojem kraju a postawami ludzi. Wydaje mi się, że ogromna rola w kształtowaniu socjalistycznych postaw w społeczeństwie przypadnie środowiskom twórczym, w tym także pisarzom. Mówię o tym, bo chciałbym reprezentować w radzie narodowej środowisko pisarskie. Mówię o tym także dlatego, że jak mi się wydaje, roli pisarza nie można w procesie przemian przecenić.

Często powiada się, że najważniejszą sprawą dla pisarza jest pisanie książek. Ale ludzkie pióra nie mogą i nie mają prawa zamykać się w wieży z kości słoniowej. Obok dialogu prowadzonego ze społeczeństwem za pośrednictwem książek potrzebna jest rozmowa bezpośrednia. Rozumiem przez nią inicjatywy środowiska literackiego zmierzające do popularyzowania wartości kulturowych w najszerszych kręgach społeczeństwa.

Potrzebna jest nam więź z innymi środowiskami twórczymi a także naukowymi. Czy można uważać za sprzyjającą tej więzi sytuację, gdy drugie co do wielkości miasto w Polsce nie posiada swego społeczno-kulturalnego miesięcznika? Nie chodzi już nawet o to, że nowe wartości nie mają się gdzie ujawnić, chodzi o to, że nie potrafimy w naszym mieście przedstawiać dokonań w dziedzinie kultury. Szczególne „zasługi" położył w tej dziedzinie łódzki ośrodek TV. Musi dziwić, że jeśli już czegoś dowiadujemy się o naszym mieście, to z redakcji centralnej TV, z Warszawy. Dlaczego łódzka TV nie próbuje ukazać chociażby dorobku naszej opery, która cieszy się zasłużenie wysoką oceną i doskonałą opinią w całym kraju? Trzeba chyba pokazywać wartości, które zna cały świat, a które stosunkowo najmniej zna nasze własne społeczeństwo.

TADEUSZ SZEWERA

Fot. Archiwum

Tadeusz Szewera, dziennikarz z 25-letnim stażem, publicysta, autor kilku książek, współautor kilkunastu widowisk o tematyce historycznej, już od lat z górą dwudziestu pracujący w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Urodził się na Rzeszowszczyźnie w 1925 r., uczęszczał do Gimnazjum w Tarnobrzegu. W czasie wojny bardzo wcześnie — bo już w wieku lat 16 — związał się z ruchem oporu na Kielecczyźnie, należał do słynnego oddziału partyzanckiego „Jędrusie". Z racji tego właśnie wojennego rodowodu do dziś wraca w swych licznych publikacjach prasowych, radiowych i książkowych do tematyki partyzanckiej.

Tadeusz Szewera równie wcześnie rozpoczął prace dziennikarską. W czasie okupacji był członkiem kolegium redakcyjnego pisma „Odwet", po wojnie więc — obok studiów w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego — uczył się w Studium Dziennikarsko-Publicystycznym, po ukończeniu którego podjął pracę w redakcji „Głosu Robotniczego". W roku 1952 przeszedł do pracy w Łódzkiej Rozgłośni PR, gdzie przez 13 lat był kierownikiem Redakcji Literackiej, a następnie z-cą red. naczelnego.

Z Łodzią jest związany od lat prawie trzydziestu. Najbliższe są mu sprawy kultury. Uważa, że tworzenie nowych wartości kulturalnych to nie tylko budowa i rozbudowa bazy kulturalnej. To również — może przede wszystkim — kształtowanie nowych modelów kulturalnych, kształtowanie wrażliwości artystycznej podatnej na dynamicznie rozwijające się nowe kierunki w sztuce, wychowywanie wciąż nowych odbiorców kultury i sztuki.

„POLAK POD NAMIOTEM"

W związku z artykułem „Polak pod namiotem" Władysława Orłowskiego, jaki ukazał się w nr 43 „Odgłosów", Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji WARTA Spółka Akcyjna w Warszawie pragnie uprzejmie poinformować, że poruszone w artykule problemy dotyczące ubezpieczeń turystycznych są pilnie śledzone i stopniowo rozwiązywane.

Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji WARTA SA rozszerzyło z dniem 1 czerwca br. zakres ubezpieczeń dla turystów wyjeżdżających za granicę. Obok prowadzonych od szeregu lat ubezpieczeń samochodowych (AC, OC, NW) wprowadzono ubezpieczenie kosztów leczenia oraz rzeczy osobistych i bagażu. Ubezpieczenia te mogą być zawierane łącznie tj. obejmować zarówno koszty leczenia jak i rzeczy osobiste, lub też oddzielnie na każdy z obu przedmiotów ubezpieczenia. Według danych obejmujących okres od 1 czerwca do 31 września br., a więc zaledwie 4 miesiące trwania sezonu turystycznego z obu form ubezpieczeń skorzystało około 25 tys. osób. Przy ocenie tych danych należy wziąć pod uwagę fakt, że ubezpieczenia te zapoczątkowane zostały stosunkowo niedawno oraz już w trakcie trwania sezonu turystycznego.

W odniesieniu do ubezpieczeń samochodowych pomoc zmotoryzowanym turystom udzielana jest przez naszych komisarzy awaryjnych, których biura znajdują się w 21 krajach Europy. Wykaz komisarzy awaryjnych otrzymuje każdy kierowca ubezpieczający samochód przed wyjazdem za granicę. Prowadzone przez nas ubezpieczenia samochodowe (AC, OC i NW) obejmują jedynie nieszczęśliwe wypadki związane z uszkodzeniem pojazdu na skutek: poślizgu, zderzenia, kraksy itp. Ubezpieczeniem nie są natomiast objęte przypadki spowodowane tzw. uszkodzeniami eksploatacyjnymi (zatarcie silnika, wyciek płynu hamulcowego itp). Pomoc dla turystów zmotoryzowanych w tym zakresie zabezpiecza Polski Związek Motorowy w oparciu o tzw. „listy gwarancyjne", które za określoną opłatą wydawane są turystom zmotoryzowanym wyjeżdżającym za granicę. Problem ewentualnego ubezpieczenia samochodów od awarii wynikającej z przyczyn eksploatacyjnych jest bardzo złożony i wymaga specjalnego potraktowania. Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji WARTA SA przeprowadza obecnie badania w tej dziedzinie.

Wyrażamy podziękowanie za podjęcie tej tematyki przez Wasze poczytne pismo.

mgr JANUSZ WYŻNIKIEWICZ
Naczelny Dyrektor

„TWORZYĆ DLA LUDZI"

Jestem stałym czytelnikiem Waszego tygodnika i nie tylko szukam w nim artykułów na poziomie „Odbijany" i opisów z „Dekamerona", lecz artykułów kształtujących intelekt społeczno-kulturalny społeczeństwa naszego regionu, ponieważ tamte nie mają nic wspólnego z wytycznymi I Krajowej Konferencji PZPR.

W obu artykułach „Tworzyć dla współczesności" i „Tworzyć dla ludzi" skondensowano to wszystko, co zamierzano powiedzieć. Lecz nie z wszystkimi wypowiedziami można się zgodzić. A mianowicie, czy dlatego, że nasz okręg posiada tylko 7,7 proc. ludzi z wyższym wykształceniem znaczy, że ta grupa ludzi jest rzeczywiście odbiorcą tworzywa, eksponowanego przez środowiska twórcze? Oczywiście nie. Ponieważ istnieje ogromna większość z wykształceniem średnim ogólnokształcącym i średnim zawodowym i do tej grupy ludzi, jak i do tej co ma tylko podstawowe wykształcenie, należy przede wszystkim dotrzeć naszym twórcom kultury.

Aż dziwić się można, że padło pytanie, czy znamy w każdym przypadku odbiorcę? Aby wreszcie go poznać oraz jego gusta i sentyment do wszystkiego, co mówi o kulturze, trzeba wejść w bezpośredni z nim kontakt — wkroczyć nie tylko do świetlic i domów kultury od święta z okazji akademii — i to za „grube" tysiące złotych, lecz jako społeczny opiekun nad twórczością kulturalną w danej świetlicy, jako doradca i współtwórca tego, co będzie się załodze eksponowało.

Chlubimy się, że obecnie posiadamy w Łodzi wyższe uczelnie, że działa prężne środowisko twórcze, że każdego roku przybywa nam ludzi z cenzusem, że mamy w szkołach średnich ogromną kadrę profesorów różnych specjalności, lecz biadoli się w publikatorach, że w świetlicach zakładowych bywają tylko dzieci i młodzież oraz renciści. Dobrze, że oni mają przynajmniej godziwą rozrywkę.

Chodzi mi o to, aby kierowników świetlic wesprzeć społeczną kadrą polonistów i innych specjalności, ponieważ przyniesie to obopólne korzyści. Twórcy poznają trud pracownika w produkcji i podkład do swojej twórczości — załoga zaś, właściwe oblicze kultury — wyeksponowane językiem nie hermetycznym, lecz czytelnym i zrozumiałym oraz stale podnosząc jego poziom. Będzie to swego rodzaju powolne, lecz stałe podnoszenie poziomu intelektualnego ludzi z średnim i podstawowym wykształceniem.

Jest nieprawdą, że robotnik jest niewrażliwy na piękno poezji. Przekonałem się o tym osobiście, organizując odczyt-składankę na „Dni Kultury Ukraińskiej". W czasie czytania referatu traktującego o powiązaniach kultury polskiej z ukraińską, były recytowane wiersze Mickiewicza, w tym również „Do przyjaciół Moskali", wiersze Szewczenki, Puszkina oraz włączał się chór śpiewający dumki ukraińskie. Po, w ten sposób opracowanym odczycie, padały słowa z widowni, że po raz pierwszy nie nudzono się na akademii — że zamiast szablonowej sztampy — referat i film — dano załodze piękno żywego słowa i pieśni.

Obecnie, w dobie radia, telewizji — środków masowego przekazu, dzienników, tygodników, miesięczników społeczno-kulturalnych, podniósł się poziom intelektualny nawet wśród robotników. Oni również potrafią już zająć krytyczne stanowisko odnośnie prezentowanej twórczości, gdy nie mogą w niej znaleźć, jak w zwierciadle, swego odbicia, swojego trudu dnia powszechnego, w kręgu rodzinnym i w pracy.

Jeśli o mnie chodzi, mam pytanie do „Krytyka", co się stało z moimi przesłanymi utworami poezji — w ilości 6 utworów — w ostatni załączyłem nawet fotosy domków tkackich z ulicy Piotrkowskiej. Do obecnej chwili nie znajduję w „Odgłosach" żadnej wzmianki — ani krytycznej lub innej; czyżby dlatego, że są napisane w prostych słowach? Tym razem załączam dalsze pt. „Front Jedności nas jednoczy", „W prostych słowach", „Rytmy Stoczni", „Ja również powrócę", „Proletariacki zew". Może tym razem doczekam się łącznej oceny i być może prezentacji kilku w Waszym tygodniku, gdyż pisałem je dla ludzi a nie do szuflady. Ukazanie się ich w Waszym piśmie zrobiłoby mi wielką satysfakcję, że mój trud nie poszedł na marne.

ALFRED ZAJDEL
(Łódź)

Od redakcji:

Z wielką uwagą czytamy każdą wypowiedź na temat artykułów publikowanych na łamach „Odgłosów" i w miarę naszych możliwości drukujemy listy nadchodzące do redakcji. Nie oznacza to jednak, że z wieloma tymi listami zgadzamy się. Podobnie rzecz wygląda z listem Alfreda Zajdla. Naszym zdaniem sprawa inspiracji twórców i odbioru różnych form twórczości nie wygląda tak prosto, jak się to naszemu korespondentowi wydaje.

A jeśli chodzi o pytanie do „Krytyka", to ocena taka znalazła się już w 46 numerze naszego pisma.

PRENUMERATA

Od wielu, wielu lat jestem prenumeratorką „Odgłosów". Od czasu kiedy „Odgłosy" ukazują się w nowej szacie, przychodzą gorzej, jakby z łaski. Wiem, że należy składać reklamację na poczcie, ale moja sytuacja jest o tyle trudna, że mogę piekli się z listonoszem i na tym koniec. Nie chodzę, mam inwalidztwo I grupy. Listonosz przekazuje reklamację urzędniczce odpowiedzialnej za prenumeratę prasy, ta do „Ruchu" i... nic. Ostatni numer „Odgłosów" z października otrzymałam 3 listopada, pierwszy listopadowy z datą 1.XI. — 8 listopada, następnego jeszcze nie.

Nawet gdyby „Odgłosy" były droższe w prenumeracie to chętnie dopłacę, aby je otrzymywać regularnie.

Najmocniej przepraszam za mój list, ale może interwencja redakcji pomoże „Ruchowi" i przez to prenumeratorom.

Życzę dużo dobrych artykułów i ko-
B. KARASIŃSKA
(Pabianice)

Od redakcji:

Jest to już drugi list w sprawie prenumeraty. Z Łodzi do Pabianic tramwajem jedzie się niecałą godzinę. Piechotą można zajść szybciej niż poczta dociera z prenumeratą „Odgłosów".

Uwagi te ponownie przekazujemy Poczcie i „Ruchowi".

Kilka miesięcy temu usłyszałem nazwę **„RANK XEROX"...** Rzucił ją mimochodem znany naukowiec — ekonomista, z którym rozmawiałem m.in. na temat łódzkiego przemysłu, jego modernizacji i aktywizacji. Profesor przekonywał mnie, że intensywny rozwój nowoczesnego przemysłu elektromaszynowego dałby nam szansę osiągnięcia wyższego stopnia rozwoju myśli i kultury technicznej.

— **Taki np. PREXER** (Łódzkie Zakłady Kserotechniczne) **kilka lat temu opracował rewelacyjny wówczas (a było to dokładnie w 1962 r.) — model płytowej kopiarki kserograficznej — KS-2. Produkuje ją do dziś, choć nie jest to model najnowocześniejszy.**

Tymczasem pojawiła się wiadomość, że tenże **„PREXER"** — jedyny do niedawna producent „ksero" w krajach socjalistycznych, nie tylko nie unowocześnia produkcji swoich kopiarek, ale wręcz jej zaniechał, przerzucając się na rentowniejszą produkcję silniczków do wiatraczków i suszarek...

MARIUSZ A. JAKUBOWSKI

CZY DOBRY KOŃ MOŻE OKULEĆ?

Wiadomość ta szokuje tym bardziej, że kserograficzny potentat — angielska firma **Ran Xerox Ltd**, od pewnego czasu zdobywa rynek krajów socjalistycznych dla swych urządzeń, równie nowoczesnych i estetycznych jak horrendalnie drogich.

— Przyjechałem więc do Łodzi. Dyrektor ekonomiczny Zakładu przyjmuje mnie w swoim gabinecie i przedstawia inż. **Janusza Grabowskiego** — szefa działu obsługi technicznej.

Pytam o Zakład: historię, pracę nad kopiarkami, osiągnięcia. Moi rozmówcy są nieufni — nie zdradziłem im bowiem celu wizyty. Wreszcie pada pytanie na które czekają:

— Dlaczego przestawiliście się na silniczki, przecież kopiarki są bardzo potrzebne?

Stropili się obaj nieco, czy raczej zdumieli, ale inżynier uśmiecha się tajemniczo. Natomiast dyrektor, Edward Miedziński, proponuje, abym najpierw obejrzał Zakład, a potem — konkluduje — porozmawiamy.

Na fabrycznym dziedzińcu ogromny samochód. Pekaes-TIR. Nieco zdziwiony pytam inżyniera, który pełni rolę przewodnika — cóż to przywieziono do przedsiębiorstwa? Ale inżynier nie odpowiada, prowadzi mnie na rampę.

W magazynie ruch, kilka osób przenosi niewielkie pudła do samochodu, są celnicy. Na każdym pudle duża kartka z adresem: ADDO — EXPORT, WIEDEŃ.

Inżynier uśmiecha się. — Tak, to właśnie nasza najświeższa produkcja — fototermokopiarka FK-2, wysyłamy do Austrii kilka tysięcy tych urządzeń.

Więc jednak — myślę sobie.

Idziemy na halę produkcyjną. Pracuje się tu systemem taśmowym. Młoda stosunkowo załoga oddaje dziennie przeszło 60 fotokopiarek. Inżynier Grabowski pokazuje mi kolejne fazy montażu urządzenia, mówi o ciekawych pomysłach racjonalizatorskich i patentach załogi.

Dochodzimy do końca taśmy montażowej, tu technicy sprawdzają niezawodność działania kopiarki. FK-2 wykonuje od 40 do 60 kopii na godzinę, w zależności od czasu naświetlania, a cena tego urządzenia... 3 300 zł.

Fototermokopiarki to nie wszystko — mówi inżynier — robimy też kserografy, te większe KS-2 i KS-4 i te zupełnie małe, biurkowe KB-1, no, a z inicjatywy Rady Zakładowej i POP zmontowaliśmy akwizycyjną serię dziesięciu kopiarek o symbolu KE-1, ale najmłodsze „dziecko" przedstawię później, teraz wróćmy do reszty naszych kserografów...

W ŁZK „PREDOM-PREXER" widziałem wszystkie kserografy i kopiarki, ich montaż, pracę, zakres i różnorodność odwzorowań.

Kserografia jest tą dziedziną techniki, która rewolucjonizuje pracę w biurach, pracowniach projektowych i konstrukcyjnych ośrodkach administracji nauki i kultury. Miejmy nadzieję, że i u nas nastąpi to już niedługo, może za kilka lat, być może dzięki kserografom i kopiarkom „PREXERA". Kserograf bowiem coraz częściej pojawia się tam, gdzie występuje potrzeba przekazania dokładnej, szybkiej i masowej informacji, a więc:

* **w instytucjach i placówkach naukowych**
* **w urzędach i biurach**
* **w agencjach prasowych i redakcjach**
* **w geodezji i kartografii**
* **w przemyśle, szkolnictwie, plastyce i scenografii.**

W początkowym okresie stosowania kserograficznych metod kopiowania na pierwszy plan wysunęło się wykonywanie odbitek wszelkich pism; dokumentów w biurach i urzędzach. Jednakże w miarę stosowania tej metody i poznawania jej zalet, otworzyło się o wiele więcej możliwości dla jej zastosowania do potrzeb np.: archwistyki, bibliotekarstwa, muzealnictwa, czy małej poligrafii. Na kserografie płytowym można za kilka minut wykonać elektryczny obwód drukowany, matrycę offsetową, kopie na przeróżnych materiałach: np. skórze, blasze, drewnie itp., a przy pomocy zwykłego aparatu fotograficznego i specjalnej przystawki można zrobić kopie mikrofilmowe z dużych objętościowo, albo cennych dokumentów czy starodruków.

Ktoś, kto widział kopiarki rotacyjne „RANKA XEROXA" może powiedzieć, że nasze, to ręczne manufaktury, na których nie można zrobić dużej ilości kopii w krótkim czasie. To fakt, tyle tylko, że rotacyjny kserograf RANKA, który „robi" automatycznie 3600 kopii na godzinę kosztuje dokładnie 21 tys. funtów angielskich (około 52 tys. dolarów) i nie możemy go niestety dzierżawić tak, jak w krajach zachodnich. Natomiast łódzkie maszyny płytowe kosztują od 30 do 130 tys. zł, a w zestawieniu z powielaczem offsetowym w cenie rzędu 30—40 tys. zł (np. japoński „RICOH", albo czeski „ROMINOR i ROMAJOR") potrafią odbić do 6000 kopii na godzinę i jak ktoś chce, to nawet w kolorach! Zestaw taki nie jest jednakże poręczny, wymaga bowiem kwalifikowanej obsługi i większego pomieszczenia.

Jesteśmy znowu w gabinecie **dyr. Edwarda Miedzińskiego.** Podświadomie czuję, że padnie w tej rozmowie wiele mocnych słów. I rzeczywiście. Na początek złoty medal i dyplom za KS-4 na Lipskich Targach Wiosennych w 1968 r. Jest jeszcze jeden dyplom, a raczej list pochwalny oprawiony w skórę, napisany po polsku i niemiecku. Czytam w nim, że naukowo-techniczne centrum techniki rolniczej w Schlieben (NRD) posiada od sierpnia 1969 r. kserograf KS-4 i z pracy oraz funkcjonowania aparatu dyrekcja centrum jest bardzo zadowolona. Chcieliby być stałymi klientami „PREXERA".

Dyrektor Miedziński powiada, że PREXER" zajął w 1972 roku pierwsze miejsce we współzawodnictwie przedsiębiorstw zjednoczenia „PREDOM". Jest także członkiem klubu eksporterów, a w skali Predomu wykazuje największą wartość eksportu w złotych dewizowych. (9.805 zł dew. na jednego zatrudnionego, gdy następny w kolejności zakład ma tylko 5.399 zł dew. na zatrudnionego). Dynamika wzrostu produkcji jest również imponująca — 20-procentowy wzrost w stosunku do roku 1971. Zupełnie nieźle jest z wydajnością — dodaje inżynier — w skali zjednoczenia jesteśmy na drugim miejscu, a i w „produkcji braków" możemy się pochwalić najniższym udziałem.

Osiągnięcia są więc wyraźne, z czego w takim razie są niezadowoleni użytkownicy kserografów Prexera? Oczywiście z obsługi technicznej. **Centrala Maszyn Biurowych**, która „opiekuje się" urządzeniami biurowymi, a więc również kserografami, nie dysponuje po prostu dostateczną ilością wyszkolonej w tym zakresie kadry technicznej. Producent gwarantuje im komplety części zamienych, ale co z tego, kiedy prawie nikt nie potrafi ich wymienić? Ostatnio pojawiło się w warszawskich tramwajach ogłoszenie spółdzielni **„Oświata"** o kursach kserografii. To bardzo dobrze, że **„Oświata"** pomaga PREXEROWI, który i tak szkoli we własnym zakresie (oczywiście dla potrzeb CMB) kilkadziesiąt osób rocznie.

Mamy własny serwis fabryczny — mówi inżynier — nie posiadając jednak swojego samochodu serwisowego (na zakup wymagana jest zgoda i przydział Rady Narodowej!), koncentruje się on na szkoleniu ogólnym. Opracowaliśmy nawet film instruktażowy, który będzie prawdopodobnie wyświetlany we wszystkich szkołach technicznych i zawodowych podległych Ministerstwu Oświaty i Wychowania.

Dziwnie wygląda również sprawa reklamy. Centrala „VARIMEX", która sprzedaje kserograficzny sprzęt „PREXERA", często bierze udział w wystawach zagranicznych, eksponując na nich maszyny KS-2 i KS-4. Producent, jednak, martwiąc się, czy reklama jest wystarczająca, reklamuje się sam. Wysłano już z Łodzi do różnych przedsiębiorstw, biur, agencji i ośrodków kulturalnych w Europie Środkowej około 6000 ofert. Na adresy czerpane z zagranicznych spisów telefonicznych nadchodziły w ubiegłym roku prospekty i informatory o urządzeniach i sposobie ich kupna. Rezultatów tej akcji jeszcze nie ma, ale w Prexerze są na razie wszyscy dobrej myśli. A na bieżący i następny rok kierownictwo opracowało program rozwoju działalności Zakładu, którego podstawą jest m. in. zacieśnienie współpracy z centralami handlu zagranicznego a szczególnie z „VARIMEXEM" i „METRONEXEM".

Oprócz kserografów i kopiarek Prexer produkuje także sprzęt typu: kino. Są to głównie projektory i zasilacze kinowe, które wygrały już kilka przetargów i są wysyłane do krajów Ameryki i Bliskiego Wschodu. Natomiast nowy produkt „PREXERA" — to wisząca domowa suszarka do bielizny. Ta niewielka skrzynka, która po złożeniu odstaje kilkanaście centymetrów od ściany, suszy 5 kg mokrej bielizny w ciągu godziny, a może być użyta jako wentylator lub ogrzewacz.

— A 1 Maja tego roku — zapala się inżynier Grabowski — zademonstrowaliśmy nowy typ kopiarki. Jest to kopiarka elektrostatyczna, o niewielkich rozmiarach i małej mocy, wykonująca 15 kopii na minutę, czyli ok. 900 na godzinę na specjalnym papierze powlekanym tlenkiem cynku. (Notabene nikt na razie nie chce go produkować). Nasza załoga przy pomocy Rady Zakładowej i POP wykonała w czynie majowym 10 egzemplarzy maszyny KE-1 z przeznaczeniem na akwizycję i reklamę. To jest właśnie nasze najmłodsze „dziecko" z rodziny kopiarek.

Dalsze prace rozwojowe „PREXERA" idą w kierunku szerszego zastosowania chemii w procesie kopiowania, bo jak twierdzi dyrektor Miedziński — sama elektrotechnika już nam nie wystarcza, współpracując z kilkoma krajowymi uczelniami przygotowujemy urządzenia kopiujące, oparte o procesy już nie fotochemiczne i termiczne, ale dyfuzyjne. Brzmi to dosyć tajemniczo, ale chyba pocieszająco, że w czasie gdy „RANK XEROX" objeżdżał Polskę reklamowym pociągiem z całą swoją supernowoczesną produkcją, łódzki Prexer nie dawał się dystansować i zamierza bronić swej pozycji coraz nowocześniejszą produkcją. Pozwoli to, miejmy nadzieję, na utrzymanie rynków zbytu, które ostatnio zaczynają odpadać, robiąc już taki sam, własny sprzęt (np. ZSRR).

Spostrzeżenia te nasuwają jednak pewne pytania:

— Dlaczego dobry zakład, mogący pochwalić się stosunkowo nowoczesną produkcją, dobrymi osiągnięciami organizacyjnymi i zdyscyplinowaną załogą zajmuje się oprócz zasadniczej produkcji wytwarzaniem rzeczy, które nigdy nie będą stanowić o jego przyszłości? (jeśli nawet chwilowo atrakcyjne). Chyba, że ambicje i konkretna specjalizacja nie wchodzą w rachubę, ale wtedy „gonitwy" o nowoczesność nie wygramy!

PROPOZYCJE „MIEŁODII"

Jedną z największych na świecie wytwórni płyt gramofonowych jest radziecka „Mielodia", która rocznie wydaje ok. 30 milionów płyt. W naszych księgarniach muzycznych dość często znajdują się grające krążki z zarejestrowanymi nagraniami muzyki poważnej i rozrywkowej.

▼ Sinfoniettę nagraną na płytę „Melodia" (S 0111) napisał Sergiusz Prokofiew w 1909 roku, jeszcze podczas studiów w Petersburgu, ale ostatecznie jej redakcja odnosi się do roku 1929.

„Sinfonietta — pisał potem kompozytor — była próbą stworzenia przejrzystej rzeczy na małą orkiestrę... Komponując ją, miałem na uwadze muzykę przyjemną, niewymuszoną". I rzeczywiście twórca osiągnął swój cel, a ponadto w tym utworze daje już znać o sobie typowo prokofiewowski styl, który tak wyraźnie występuje w późniejszej twórczości radzieckiego kompozytora.

Na drugiej stronie tej płyty utrwalono Poemat symfoniczny „Psyche" Cesarego Francka kompozytora i organisty belgijskiego, który znaczną część życia spędził w Paryżu. Zaliczany jest on do epigonów romantyzmu, wiele przejął w swej twórczości z muzyki Bacha i Beethovena, pisał głównie utwory symfoniczne i kameralne oraz dramatyczne. Poemat „Psyche" składa się z ośmiu części (na płycie — fragmenty), jego treścią jest temat ze starogreckiego mitu o miłości boga Erosa do ziemskiej kobiety Psyche.

Oba utwory wykonuje Orkiestra Symfoniczna Wszechzwiązkowego Radia, którą dyryguje Dżemal Dołgat.

▼ Na płycie „Mielodia" SM 02331 (SM oznacza się płyty stereofoniczne) zostały nagrane trzy sonaty Ludwika van Beethovena na wiolonczelę i fortepian. Sonata nr 1F — dur op. 5 (napisana w Berlinie dla francuskiego wiolonczelisty Duporta), Sonata nr 4C — dur op. 102 i Sonata nr 5D — dur op. 102.

Ze sztuką twórczą Betthovena harmonizują doskonale jej odtwórcy w osobach takich mistrzów jak Mścisław Rostropowicz — wiolonczela i Światosław Richter — fortepian.

▼ Pięć koncertów włoskich kompozytorów żyjących na przełomie XVII—XVIII wieku (Tomasso Albinioni, Luc Antonio Perdieri, Giuseppe Torelli i Antonio Vivaldi (wykonuje Wiktor Liberman z towarzyszeniem Leningradzkiej Orkiestry Kameralnej, którą dyryguje J. Sierieblakow nagranych na płycie SM 01881.

Są to następujące koncerty: C — dur Albinioniego, h — moll Predieriego, c — moll nr 8 i e — moll nr 9 Torelliego i a — moll op. 3 nr 6 Vivaldiego.

▼ Z okazji Festiwalu „Rosyjska Zima" nagrano na płytę SM 02985 fragmenty baletu Piotra Czajkowskiego „Jezioro łabędzie". Jak wiadomo, ten wielki kompozytor rosyjski, oprócz bogatej twórczości operowej, zapisał się na trwałe w muzyce baletowej, stając się reformatorem tego gatunku w Rosji.

Z fragmentów nagranych na płycie wymienimy tylko niektóre: Introdukcja, Taniec maleńkich łabędzi, Walc, Taniec węgierski, Taniec hiszpański, Taniec neapolitański, Mazurek.

Wielką Orkiestrą Symfoniczną Wszechzwiązkowego Radia dyryguje G. Rożdiestwieński.

▼ Kwartet wokalny „Akord" powstał w końcu lat 50 z inicjatywy małżeństwa Zoi i Szoty Charabadze. Pozostali członkowie to Inna Miesnikowa i Wadim Łyńkowski. W ciągu kilkunastu lat występów pod różnymi szerokościami geograficznymi kwartet zdobył sobie wielu zwolenników.

Na płycie D 024233 „Akord" nagrał czternaście pieśni, głównie radzieckich, choć i znajdują się utwory angielskie, greckie i algierskie. Repertuar kwartetu jest bardzo szeroki — pieśni kompozytorów radzieckich, obcych i melodie ludowe, często w interpretacji grupy nabierają nowego blasku.

Dewizą zespołu jest ciągłe poszukiwanie najlepszego wyrazu artystycznego, wytrwała praca, odpowiedni dobór repertuaru oraz oryginalność.

MUZYKA Z PŁYT

▼ Płyta D 26619, nosząca tytuł — „Wszystkim, którzy lubią pieśni" zawiera dziewięć rytmicznych piosenek kompozytorów radzieckich. Na stronie A znajdują się: „O czym płaczą gitary" — w wykonaniu popularnego zespołu beatowego „Norok", Śmieszny chłopiec" — śpiewa A. Wiedliszczewa, „O dźwięczna pieśni" — R. Bejbutow, „Coś powinno się stać" — E. Gonczarowa.

Druga strona zawiera: „Diabelski młyn" — wyk. M. Magomajew, „Śpiewa artysta" — „Norok", „Pieśń o szczęściu" — G. Nienaszowa, „Biały niedźwiedź" — Z. Tatlian i „Pieśń jesieni" — wyk. T. Miansarowa.

▼ Bogatą panoramę utworów zawarto na płycie D 027933, na której znajduje się 15 pieśni w interpretacji znanego dobrze polskim słuchaczom radzieckiego pieśniarza — Josifa Kobzona.

▼ I jeszcze jeden akcent bliskopolski. Poza konkursem na tegorocznym festiwalu sopockim wystąpił solista Leningradzkiego Music-Hallu Walentin Bałgajenko. Występował on wielokrotnie za granicą podbijając publiczność Paryża, Rzymu, Warszawy piosenkami „Dwie gitary", „Pasza Muro", „Trzy lata ty mnie nie śniłaś".

W Związku Radzieckim Bałgajenko wydał już przeszło 4 miliony płyt. Long playe nagrał także we Włoszech, Francji i NRD. Na płycie „Mielodia" SM 02997-8 solista nagrał pieśni cygańskie i ballady rosyjskie.

▼ Płyta D 021343-4 zawiera cztery piosenki „Ciemna noc", „Kiedy polubisz mnie", „A samoloty same nie latają" i „Zawsze byliśmy razem", które wykonuje zmarły przed kilkoma laty aktor i pieśniarz radziecki Mark Bernes.

OBLICZA MATKI COURAGE

Dalszy ciąg ze str. 1

„Matkę Courage" (premiera 13. I. 1962) w reżyserii **Lidii Zamkow** ze scenografią **Urszuli Gogulskiej** w okresie coraz częstszego w teatrze współczesnym szukania uniwersalizmu w losach jednostek i zbiorowości. Rolę tytułową kreuje **Lidia Zamkow.** Usiłuje wydobyć z niej przejawy mądrości życiowej i ludzkiej godności. Zmierza do nasycenia działania scenicznego gorzką świadomością niszczycielskiej siły wojny. Odwołuje się do wyobraźni widza. Sztuka Brechtowska przestaje być kroniką wojny trzydziestoletniej. Staje się opowieścią o nieszczęściach i zniszczeniu, które niesie ze sobą każda wojna. Ową metaforyczność podkreślały scenografia i kostium. Raz traktowano je jako naturalistyczną ilustrację, drugi raz — jako metaforę uogólniającą.

Matka Courage **Lidii Zamkow** w pierwszych scenach była brawurowa, rezolutna, nadużywała gestu, krzyku i ruchu. W dalszych obrazach coraz bardziej ujawniała swą osobowość i motywy postępowania jakby od wewnątrz; wyciszała grę, eksponowała sceny nieme, grała twarzą, skurczami mięśni, wyrazem oczu, gestem rąk. Wbrew teoretycznemu założeniu teatru epickiego Brechta, **Lidia Zamkow** uzmysławiała dojrzewanie Matki Courage poprzez nieszczęścia i wojenne peregrynacje. Narastały w niej bunt i opór wobec niszczycielskiej siły wojny oraz zrozumienie jej mechanizmu. W ostatniej scenie przedstawienia, tak istotnej dla wymowy całości inscenizacji tejże sztuki, **Lidia Zamkow** ujawniła rozpacz Courage i jej zwątpienie w sens dalszej walki. Zamiast podnieść uprząż, jak wynika z tekstu sztuki i ślepo podążać za armią, Matka Courage wprzęgnięta w ciężki wóz markietanki bezradnie zatrzymała się na środku sceny. Uzmysławiała niemoc ludzkości wobec burz historii i kataklizmów dziejowych.

Inne komponenty składają się na wykonanie Matki Courage **Ireny Eichlerówny** w **Teatrze Narodowym** (premiera 15.II.1962). Przedstawienie warszawskie reżyserował **Zbigniew Sawan** ze scenografią **Eugeniusza Markowskiego. Irena Eichlerówna** uczyniła los markietanki losem doświadczenia bardzo zwykłego, i bardzo przez to tragicznego w swojej grozie i krzywdzie ludzkiej. Ale nie tylko. Podprowadziła ofiarę wojny do tego stanu, kiedy człowiek przestaje być bierny i godzić się ze swym losem. Zaczyna walkę człowieka, który wie, że niczego już nie może wygrać, lecz usiłuje porachować się ze światem. Kieruje się trzeźwą logiką i naturalnym instynktem życia. Courage nie mogąc uratować ani swego kramarskiego wózka, ani zatrzymać przy sobie przyjaciela, ani obronić przed śmiercią swe dzieci, broni ludzkiej godności i godności ludzkiego cierpienia. Eichlerówna podporządkowała wygraniu tych motywów wszystko: piękny i różnobrzmiący głos, gest, ruch postaci, walory swego ciała, niezmiernie oszczędną mimikę.

W ostatniej scenie Matka Courage długo nie może rozstać się z martwą córką. W zastygłej postawie klęczy nad ciałem Katarzyny. Po chwili kamiennej ciszy szybko i zdecydowanie wyprostowuje się i równie zdecydowanie wykonuje czynności: zabraną z wózka płachtą przykrywa ciało Katarzyny, płaci chłopom za pogrzebanie trupa i zarzuca sobie uprząż na szyję. Rusza energicznie naprzód. Nie jest strzępem ludzkim; posuwa się z godnością, ginie w oddali. Matka Courage tak zagrana urasta w finale sztuki do symbolu niezniszczalnej mocy człowieka, niezłamanej niczym odradzającej się ludzkości. Jest w niej bolesny optymizm, wynikający z ludzkiej godności. I jest świadomość nie niemieckiej hieny wojennej, lecz przedstawiciela narodu, który przeżył okupację hitlerowską.

„Takiej Matki Courage — napisze po premierze recenzentka — **nie wymyślił ani Brecht, ani Weigel, ani liczne obce i polskie interpretatorki. (...) Stworzyć ją mogły tylko opowieści epoki pieców, wspomnienia bliskich i znajomych, których nie ma, wędrówki po grobach, których nie ma"** (B. Frankowska).

Późniejsze inscenizacje, nie tak wybitne i sławne, nie przyniosły wielu odkryć. Były dalszymi próbami zbliżenia niemieckiej sztuki do spraw interesujących polskiego widza. Matka Courage przestała być Niobe boleściwą i hieną pobojowisk, coraz częściej stawała się szarym człowiekiem, a wcale nierzadko — łachmaniarską bohaterką.

W „Matce Courage" **(Teatr Wybrzeże)** reżyserowanej przez **Jerzego Golińskiego** ze scenografią **Jadwigi Pożakowskiej** (premiera 6.XI.1965) markietanka **(Bogusława Czosnowska)** przestała być ofiarą wojny. Stała się wytworem, wyznawcą i ofiarą cywilizacji pieniądza. Wytworem, bo aktorka z całą mocą eksponowała realia socjologiczne walki Courage o byt, akcentowała bezwzględność warunków jej życia. Wyznawcą — bo Matka Courage jest zafascynowana swym handlarskim procederem. Znajduje w wojnie i miłość, której owocem jest troje dzieci, i urok przygody. Ofiarą — bo handlując przyczynia się bezpośrednio do śmierci przynajmniej jednego dziecka. (Schweizerkas). Przy takim rozumieniu losu Matki Courage przedstawienie miało charakter analityczny. Usiłowało przekonywać rozumowymi argumentami. Było zimne i oschłe. Los Matki Courage ilustrował tezy, nie wzruszał.

Z kolei w spektaklu **Jana Perza** w **Teatrze im. A. Fredry w Gnieźnie (premiera 1.III.1965)** ze scenografią **Edwarda Grochulskiego** z **Jadwigą Hodorską** w roli Matki Courage eksponowano motyw witalności człowieka miotanego przez los. Matka Courage była kobietą zachłanną wobec uroków życia. Zaślepiona bardziej iluzją pełni życia niż chciwością; nie chciała być stara. Wojna dawała jej szanse życia dynamicznego i zmiennego, pełnego napięć i przygód. W takiej interpretacji scena końcowa eksponowała nagły cios zadany przez wojnę; była też dla Courage momentem uświadomienia beznadziejnej samotności i nieubłaganej w swych prawach starości.

Matka Courage na polskich scenach coraz bardziej oddalała się od pierwowzoru wykonania jej przez **Helenę Weigel.** Stawała się przedmiotem przystosowania do ogólnych tendencji teatru współczesnego. Inscenizacje sztuki Brechta coraz dalsze były założeniom teorii teatru epickiego.

Mirosław Wawrzyniak przygotowując inscenizację „Matki Courage" w **Teatrze im. A. Węgierki w Białymstoku** (premiera 14.V.1969) wyznawał w programie do przedstawienia, że Matki Courage nie traktuje jako **„dobrowolnego partnera czy bezwolnej ofiary wojny, ale jako szarego człowieka walczącego o swą egzystencję w warunkach, które zostały mu narzucone niezależnie od niego i wbrew jego woli".** Przy takim założeniu sztuka Brechta przestała uczyć dialektycznego myślenia. Tłumaczyła czyny Matki Courage i usprawiedliwiała. Człowiek stawał się ślepym narzędziem historii. Jego moralność była wytworem warunków, w których przyszło mu żyć. W przedstawieniu białostockim i przedstawieniu lubelskim **Kazimierza Brauna** (premiera 24.I.1968) Matka Courage niemal urastała do rangi bohaterki. Traciła dobytek i dzieci tylko z winy historii. Była, jak zauważono wówczas, łachmaniarską bohaterką.

75-ta rocznica urodzin Bertolta Brechta zwróciła uwagę teatrów na jego twórczość. Teatry polskie sięgnęły i po „Matkę Courage". Czy jednak nowe interpretacje aktorskie głównej postaci sztuki potrafią przełamać utarte ścieżki i odkryć jeszcze inne prawdy o Courage?

ELEONORA UDALSKA

MAREK WAWRZKIEWICZ

MOSKIEWSKIE NOWINKI

Sądziłem, że jest tak tylko u nas, ale się myliłem. Życie teatralne Moskwy tak samo powoli wraca do normy po wakacyjnej przerwie. Jest to jednak po części zrozumiałe: prawie wszystkie teatry moskiewskie w miesiącach letnich wyjeżdżają na gościnne występy do stolic różnych republik radzieckich, do mniejszych miast i miejscowości wypoczynkowych. W tym zaś czasie w stolicy również nie panują pustka i nuda: sceny moskiewskie stają się miejscem swoistego festiwalu teatrów prowincjonalnych. W ten sposób wszyscy są zadowoleni: mieszkańcy odległych nieraz republik i miast mają szanse przynajmniej raz do roku zobaczyć to, co jest w teatrze radzieckim najlepsze, moskwiczanie zaś nieźle się orientują w tym, co się dzieje na prowincji. Ale jednak nowy sezon teatralny zaczyna się w Moskwie gdzieś w połowie października; na afisze wchodzi coraz więcej premier, a publiczność wali do teatru coraz częściej — choć z tym nigdy nie było kłopotu.

Tak się złożyło, że ostatnio byłem w Moskwie od połowy września do połowy października i nie oglądałem jeszcze premier sezonu 1973/74 — zgrywano na ogół starsze, wcześniejsze pozycje, choć już pojawiły się nowe afisze. Jeśli z nich wnioskować można — tegoroczny sezon zapowiada się tradycyjnie: kilka sztuk Aleksandra Ostrowskiego, Gorki, trochę klasyki światowej. Do klas-ki także należą pozycje, które są grane w Związku Radzieckim od 30—40 lat — myślę tu o zapowiadanych „Bolszewikach" Szatrowa, czy „Człowieku z karabinem".

W pierwszej jednak dekadzie września miała Moskwa swą sensację teatralną, a były nią z pewnością występy Teatru Narodowego z Warszawy. Przyjechałem zbyt późno, aby je oglądać, zresztą gdybym przyjechał wcześniej — też pewno nie dostałbym się na salę: o bilety zabijano się wprost. Znam jednak opinie prasy i kilku aktorów, widziałem też w IV programie TV duży — godzinny prawie program z udziałem Kucówny, Dmochowskiego, Łapickiego, Hanuszkiewicza i Olbrychskiego, który jest tu aktorem ogromnie popularnym, znanym z „Pana Wołodyjowskiego" i filmu Wajdy „Wszystko na sprzedaż"; miał ten film w Związku Radzieckim wielki sukces. Hanuszkiewicz przywiózł do Moskwy „Beniowskiego", „Hamleta" i — podziwiać odwagę — „Trzy siostry" Czechowa. Właśnie ten spektakl zdobył sobie największe uznanie publiczności — za nowatorstwo, świetny warsztat i wielką rolę Zofii Kucówny; wolałbym nie sądzić, że „Hamlet" Olbrychskiego był taką czystą zgrywą, jaką był jego telewizyjny monolog „Być albo nie być". Ale czas już przejść od poloniców do tego, co grają i oglądają w Moskwie.

Donosiłem już kiedyś o nowej gwieździe dramaturgii radzieckiej: stał się nią białoruski pisarz Makajonok. Jego „Trybunał" jest grany w całym Związku Radzieckim, ale autor nie poprzestał na tym sukcesie. W tej chwili w repertuarze jednej sceny — Teatru Satyry — utrzymują się aż dwie — rzecz niesłychanie rzadka — pozycje: „Tabletkę pod język" współczesna komedia-reportaż oraz sztuka, której tytuł można by przetłumaczyć jako „Zaszlachtowany apostol" — krótka, małoobsadowa tragikomedia. W tym samym teatrze, w którym pracuje cała plejada niezwykle popularnych aktorów, tradycyjnie i bez przerwy gra się „Rewizora" Gogola, tym razem w inscenizacji Płuczeka, reżyserii Kozłowskiego i scenografii Lewintala. Za każdym razem, kiedy mam oglądać kolejną wersję „Rewizora" wydaje mi się, że nie zobaczę w niej już nic nowego: gogolowskie typy są tak mocno narysowane, tak ściśle określają postacie, że o jakimś różnicowaniu można tu mówić tylko w sensie doskonalenia. A jednak kreacja jednego z najwybitniejszych aktorów komediowych, Papanowa, który gra tu Horodniczego, jest nową wartością. Papanow, aktor obdarzony niebywałą vis comica, założył sobie, jak sądzę, że poza wszystkim będzie starał się obronić jakąś godność tego prowincjonalnego, ciemnego satrapy, będzie się starał umotywować jego działania w tym sensie, że pokaże, iż w określonej atmosferze i warunkach społecznych Horodniczy postępować inaczej nie mógł. I to mu się — o dziwo — udało. Horodniczy w Teatrze Satyry jest nieodparcie śmieszny, ale śmieszny w inny, nie tradycyjny sposób. „Rewizor" jest w ogóle bardzo mocny aktorsko — Wasiliewa, Mengliet, Wysokowskij udowadniają, że ich popularność ma mocne podstawy. Rozczarował mnie natomiast powszechnie znany i lubiany Mirionow, grający tu tytułową rolę. Jego Chlestakow jest okrutnie efekciarski, aktor nie wykazał w tej roli dobrego smaku i zdolności odróżnienia szarży od brawury.

W teatrze, o którym zawsze głośno w Związku Radzieckim i poza jego granicami, w teatrze „Na Tagance", w którym zawsze jedną czwartą widowni stanowią cudzoziemcy — na razie nic nowego. Ale chciałbym tu zwrócić uwagę na fakt, który u nas nie mógłby mieć miejsca. Najpierw była głośna i w wielkim nakładzie wydana powieść Wasiliewa „A zorii zdieś tichije" — co niezbyt szczęśliwie przełożono na „Tak cicho tu o zmierzchu". Potem Taganka, której „żelazną" specjalnością (przypomnę „10 dni, które wstrząsnęły światem" i „Antyświaty" Woznieseńskiego) są montaże, reportaże sceniczne — przygotowała spektakl według tej książki. Trochę później wszedł na ekrany film — piękny, dojrzały, który zobaczy wkrótce i polska publiczność. I mimo, że film obejrzeli właściwie już wszyscy — spektakl sceniczny cieszy się niesłabnącym powodzeniem.

W Akademickim Teatrze im. Mossowietu widziałem pozycję, która wzbudziła we mnie dość złożone uczucia. Było to „Życie Saint-Exupery'ego" — sztuka Lwa Maliugina, oparta oczywiście na życiorysie wielkiego pisarza, a także w pewnych gmentach na jego listach i książkach. Rzecz jasna, każdy autor piszący utwór biograficzny ma prawo wybrać z życiorysu portretowanego człowieka to, co go najbardziej fascynuje, to, co jest najbardziej dla jego dzieła przydatne. Niemożliwe jest więc uniknięcie pewnych przerysowań, przejaskrawień, nadmiernego wyeksponowania niektórych szczegółów. Są jednak pewne granice, trzeba zatrzymać się w tym miejscu, gdzie kończy się prawdopodobieństwo. Maliugin poszedł dalej przekroczył tę granicę. Jest rzeczą wiadomą, że francuski lotnik i pisarz odwiedził Związek Radziecki, pisał też reportaże z tej podróży. I życie Saint-Exupery do tego momentu jest kreacją artystycznie prawdopodobną, utrzymaną w ciepłej, poetyckiej, pełnej wzruszającej nastrojowości tonacji. Ale później usiłuje nam się wmówić, że ten właśnie moment był głównym i decydującym w życiu autora „Małego Księcia". I z tym problemem nie daje już sobie rady ani reżyser — Konstanty Michajłow, ani cała grupa dobrych aktorów — Szurupow (grający tytułową rolę), Brunowskaja, Niekrasow.

Mój ulubiony teatr moskiewski — Mała Bronna — przeżywa spore kłopoty i rzadko gra w Moskwie. Generalny remont budynku zmusza go do głupich występów gościnnych, do tułania się po innych salach teatralnych. Toteż widziałem tam tylko jeden spektakl, ale za to stosunkowo świeży — „Don Juana" Moliera w inscenizacji Efrosa i reżyserii Durowa. Przedstawienie to jeszcze raz umocniło mnie w przekonaniu, że scena ta jest jedną z najciekawszych obecnie w Związku Radzieckim. Akcja rozwija się dość tradycyjnie, jeśli nie liczyć licznych wyjść aktorów ze sceny na widownię i wygłaszania stąd długich kwestii. Przy dość słabych postaciach kobiecych — trudno wprost uwierzyć w wieczny zapał miłosny Don Juana — dwie role męskie stanowią o wysokiej klasie spektaklu. Rola tytułowa, którą wbrew warunkom, ale z ogromną siłą przekonywania gra Piersiełow i rola jego sługi którą kreuje prawdziwy żywioł aktorski, Lew Durow. A więc wszystko jest tradycyjne — miłosne arie, zgorszenie sługi, jego tchórzliwość i cwaniactwo, momenty śmiechu i grozy. Ale oto zjawia się posąg Komandora. I okazuje się, że jest to niewielki, nieimponujący, zwyczajny człowiek. Dotknięcie jego ręki jest też zwyczajne, niemal pieszczotliwe. Zaraz potem Komandor odchodzi — łagodny, uśmiechający się. A wtedy umiera Don Juan — umiera nie jak ktoś na kim zemściło się niebo, a jak ktoś, kto doznał zawału serca, wylewu krwi do mózgu. Nie ma w tej scenie nic demonicznego. Nie spotkałem się jeszcze z takim rozwiązaniem kluczowej sceny, nie podejrzewałem nawet, że jest możliwe. A jednak zawiera ona jakąś wielką, łatwo zrozumiałą dla nas współczesnych prawdę.

Prawda, maksymalna wiarygodność scenicznych sytuacji — to właśnie wydaje mi się główną tendencją radzieckiej współczesności teatralnej zgodnej z tradycyjnymi skłonnościami do realizmu. Myślę sobie, że zza wysokich murów eksperymentów formalnych i my powinniśmy popatrzeć w tę stronę.

„Trybunał". Makajonok w Teatrze na Małej Bronnej
G. Martyniuk i L. Durow.

KRONIKA

Na V Ogólnopolskim Biennale Plakatu w Katowicach, na które jury zakwalifikowało 322 prace 123 autorów, w kategorii plakatu o tematyce kulturalnej nagrodę II stopnia — srebrny medal otrzymali łódzcy graficy: **Bogusław Balicki** i **Stanisław Łabędzki.** Ten zespół autorski od paru lat specjalizuje się w plakacie, którego tematyką są wydarzenia i imprezy kulturalne oraz w projektowaniu katalogów współpracując z Muzeum Sztuki i Biurem Wystaw Artystycznych. Wynikiem tejże współpracy jest interesująca kolekcja plakatów sygnowana nazwiskami: Balicki — Łabędzki.

Warto przypomnieć, że zespół jest autorem plakatów i katalogów do cyklu wystaw, jakie w roku bieżącym dzieją się w Łodzi, w ramach prezentacji tendencji nadrealnych i metaforycznych w polskiej sztuce współczesnej. Zaprojektowany przez Balickiego i Łabędzkiego katalog do wystawy Jacka Gaja zasługuje na specjalne wyróżnienie — efektowny i poprawnie wydany przez Graficzną Pracownię Doświadczalną winien stać się wzorem jak powinien wyglądać katalog.

Balicki i Łabędzki stworzyli sporą kolekcję własnych plakatów. Warto by ją było pokazać w całości.

* * *

„Wystawy Złotego Grona w Zielonej Górze mają już swoją tradycję i swoje miejsce na mapie imprez artystycznych.

ZŁOTE GRONO — podczas swej dziesięcioletniej prawie historii zdołało ściągnąć na siebie uwagę niemal wszystkich, którym bliskie są sprawy sztuki współczesnej; kto w meandrach jej poszukiwań usiłuje znaleźć logiczny ciąg rozwojowy, czy choćby tylko zaskakujące komentarze artystyczne do wydarzeń z wielkiej areny teraźniejszości. Te cechy Złotego Grona sumują się na tradycję imprezy — a mówiąc ściślej — na tradycję całego szeregu imprez — bo Złote Grono dzisiaj to nie tylko centralna wystawa, nie tylko wspomniane spotkania, ale również plenery i wystawy towarzyszące; wreszcie ludzie (wielu z nich to prominenci naszego świata sztuki)".

Z tym większą satysfakcją odnotowujemy sukces łódzkiego malarza, **Andrzeja Gieragi,** który na tegorocznym VI Złotym Gronie został podwójnym laureatem, otrzymując wyróżnienie i nagrodę dziennikarzy.

* * *

W Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej otwarta została ekspozycja grafiki i rysunku **JACKA GAJA,** (Kraków) będąca kolejną w cyklu wystaw, prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej. Szersze omówienie tej wystawy zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

ANDRZEJ GRUN

JAN CZARNY

PSY PAMIĘCI

psy kaleczone pamięcią
ze snu wciąż wywożą rannych
dziewczyny wracają do źródła po urod
zostawiając w ziemi zakopane lustr
galopuje ogień
i liczy strzaskaną słomę
nad utkaną strannie śmiertelną koszulą
mróz wtapia umarłych w śnieg
obleka ich w bieliznę z lodu
idziemy linią falistą
rosną nam skrzydła
z pękniętego nieba

POMNIK PTAKA

śmierć jest ołowiem choć powinna być niczym
ołowiany ptak nie wzleci już w chmury
przybity do ziemi kroplami deszczu
wytopiony z kul którymi go zabito
myśliwi wystawili mu pomnik
choć wystarczyłoby
zdjąć z nieba przejrzystą siatkę lotów
gdy inni wahają się
między estetyką a ontologią
myśliwi patrzą na świat przez kręgi tarczy strzeleckiej
uskrzydla ich zapach prochu i huk strzałów
poeci przykładają ucho do ołowianych skrzydeł
i łowią drżenie ptasiego serca

Nie otwierali nam wrót

Nie otwierali nam wrót do zagrody bo ich nie było: wojna wyrwała je z zawiasów i cisnęła na pola zryte czołgami, porastające perzem: i tak prosto z drogi dalekiej a teraz już wiejskiej biegnącej ku wieczornej zorzy, zajechaliśmy na przygodnej bryczce przed biały dom i kamienną oborę, pod jednym dachem krytym słomą, od niepamiętnych lat zasiedziałych: z oddalenia — gdyśmy wspięli się na góreckie wzgórze, przez które przechyliła się na rodzinną dolinę szosa prowadząca nas od stacji do wsi — matka pokazała mi tę chatę, w której wydała mnie na świat: ujrzałem ją na tle topoli, roziskrzoną wapienną bielą, i tylko biel jej jeszcze widzę dotąd, chociaż nie ma już jej, rozpadła się w próchno.

Nie otwierali nam wrót bo nie było nikogo w chałupie, jedyny jej mieszkaniec, dziadek, ojciec mojej matki, pasł krowę na południowym wygonie pod laskiem brzozowym o parę staj od zagrody: i dziadek zoczył nas, powiódł krowę ku nam, a prowadząc ją na postronku, ze łzami w siwych oczach, bez słowa powitania podszedł do ojca i podał postronek z krową, to co ocalił z wojny, i nic nie powiedział albo powiedział: masz krowę, zaczynaj od nowa, od jednej krowy, będzie mleko dla dzieci i gnoju trochę: i wtedy witaliśmy się długo, coraz więcej było uścisków i pocałunków, bo sąsiadów i znajomych przybywało na podwórzu, oglądali nas z różnych stron, dopytywali się o podróż z niewoli, o wszystko, nic całkiem nas rozumiejąc, i potem poczęli zdejmować toboły z bryczki, ja zdjąłem białego konia na biegunach, ujeżdżałem go kołysząc się, i moich rówieśników wsadzałem na drewnianego konia: poznawaliśmy się od imion: i tak się nasze przyjaźnie zaczęły w przesadzonym na powrót w ojczystą glebę dzieciństwie, z którego wyrastaliśmy razem i powoli przez wiele wiosen i zim, i chyba zupełnie nie wyrośniemy nigdy.

Z NIEBA NIE POWRÓCIŁ GOŁĄB

Ma się na deszcz. Gołębie przelatują tuż nad ziemią. Wyżej — silny wiatr. Jakby upadały mu do stóp. Lot swój podnoszą tylko nad sadem, gdy go mijają, dopadając na dachy. Przez chwilę odpoczywają i krótkim przelotem, otwarłszy tylko skrzydła, przenoszą się na poddasze do gołębnika.

Spadły pierwsze krople ciężkiego deszczu. Pan Antoni stoi na podwórzu, wcale nie myśli schronić się przed ulewą. Jest w podniszczonym szarym, lecz całym garniturze. Z gołą głową. Ma dwoje bystrych oczu, a każde oko patrzy inaczej.

Jeszcze przeszukuje okoliczne niebo. Czy nie zaplątał się w nim jego ptak.

Zna siebie, nie gwiżdże. Wiatr rośnie. Nie przegwiżdże go. Lecz z podwórza nie ustępuje.

Z nieba nie powrócił jeszcze jeden gołąb.

PŁONĄ STOGI

Za wsią płonęły stogi. Syczało powietrze. Ludzie biegli do ognia z gołymi rękoma. Nawoływali się krzykiem. Jak za daleką wodą.

Stogi stały w ogniu. Ludzie stali przed nimi. Bezradni. Przybyła straż ogniowa. Strażacy zaczęli bosakami wyciągać snopy z płonących stosów. Przywieźli wodę w beczce. Z sikawek polewali stogi.

Do odległego stawu przeciągnięto węże strażnicze. Popłynęło więcej wody. Lecz wkrótce staw wyczerpano.

Stogi dogasały.

Zwęglone zboże tliło się dłużej. Pył ze słomy rozpadał się pod podmuchem wiatru, unosił w powietrzu, jednoczył z nocą.

Wzeszła pierwsza gwiazda. Uciszyło się, zapachniało spalenizną.

FELIKS RAJCZAK

GNIAZDA

A.

Na żelaznej obręczy, wciągniętej na topolę, bociany nie chciały wić gniazda. Trzeba było zmienić podkład. Wnieśliśmy koło od wozu bez obręczy. Rację miał dziadek mówiąc, że bociany od żelaza stronią. Czyżby bociany były przesądne? I rzeczywiście, na kole przystąpiły do budowy gniazda, zaczęły wznosić grube patyki, perz. Gdy odleciały w jesieni, sprawdziliśmy ich dzieło: było kunsztownie zrobione.

B.

Do jaskółczego gniazda pod okapem obory, pod nieobecność właścicieli wprowadził się wróbel, który chciał założyć w nim swoją rodzinę. Jak mógł, zapytacie, bez zezwolenia ptasiego kwateruńku? No właśnie. Nic dziwnego przeto, że spotkała wróbla zasłużona kara. Poszkodowana para jaskółek poskarżyła się swym rodaczkom. Te przyszły z pomocą, mszcząc się na wróblu. W ciągu paru minut zalepiły otwór gniazda. Pozostający w gnieździe wróbel skazany został na śmierć głodową.

LIST SPOD AGRESTU

Znalazłem ten list w alei ogrodowej. Wyciągnąłem go spod rozłożystego krzewu agrestu, objętego o tej porze zielonym płomieniem delikatnych listków.

Czytałem:

„Adalbercie, odeszłam od twego ojca bo go przestałam kochać. Stało się to wówczas, kiedy zrozumiałam, że nigdy nie zrealizuje swych młodzieńczych zamiarów.

Gdy go poznałam, rokował duże nadzieje. To mi imponowało. I przez to był atrakcyjny, i takiego pokochałam. Nie znałam go dobrze, ani tym bardziej jego możliwości. Zostałam żoną dobrze zapowiadającego się młodego poety.

Lata szły, a on pisał coraz mniej, coraz rzadziej nazwisko jego pojawiało się w prasie. Wydał, jak wiesz, ten mały zbiór wierszy, którego kilka egzemplarzy leży w kurzu na szafie. Może sięgniesz kiedyś po nie? Przekonasz się, że te wiersze nie zapewnią mu chociażby wzmianki w historii literatury tego okresu, w którym przyszło nam żyć, i jemu żyć, i tworzyć.

Jakiż ten czas jest... odpychający. Wszystko co trwałe pozostawia na swoim miejscu. Wszystko inne zatraca. Tak było z naszymi uczuciami".

Te listki agrestu ochroniły list od zupełnej zatraty. Jednak kilka zdań krople deszczu (a może łzy?) zwilżyły, i zamazały. Nie mogłem już ich odczytać.

Kadry z filmu „En face". Janusz Sierociński, Janusz Wiktorowski.

FELIKS RAJCZAK

MATEUSZ

Mateusz trafi już na tamto pole pod lasem. Bo dawniej gdy mu żona mówiła — Idź Mateuszu, zaorz tamto pole — to on długo błądził z koniem po dróżkach polnych, sąsiedzi przyglądali się temu z uśmiechem, lecz zawsze któryś dobrotliwie wskazywał mu jego pole, by orał. Orać umie, chociaż żona z nim czasem zagania pierwsze skiby, pokazuje mu granice pola.

Teraz Mateusz trafia na pole, które wniosła mu w posagu jego kobieta, i jest prawdziwym gospodarzem. Chociaż jeszcze sam nie jeździ na targ ze zbożem, ani nie chodzi z krową na jarmark, bo liczyć pieniędzy nie potrafi, zdobył już ten cichy przyklask wsi, bo orać umie i spłodził troje dzieci.

Do miasta jeździ z żoną, lecz ona przejmuje lejce na ruchliwych rogatkach miasta, ona czyni zakupy i załatwia sprawy w urzędach. Mateusz uśmiecha się z wozu do znajomych, ściąga górną wargę u podnóża nosa, odsłaniają się wtedy jego zęby zarażone próchnicą, i odpowiada krótko na pytania: tak lub nie. Albo przekazuje trudniejsze pytania żonie, by odpowiadała.

Mateusz nie zna się na polityce, ani sztuce (to coś za lasem, za wodą), ale zna się na świniach. Choduje je w dużym chlewie, pasie odpowiednio, bo chce, jak powiada, „upaść je na stodołę". Zamierza budować stodołę, bo od wielu lat zboże składa w stertę, która zawsze zacieka, słoma gnije i pasza dla krów się psuje, krowy nie doją im jak trzeba, i gnój nie taki.

I Mateusz tę stodołę pobuduje.

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

WROGOWIE CYWILIZACJI

Wrogowie cywilizacji rodzą się w blasku słońca
na polnych kamieniach
i jeśli im Bóg pozwoli
dożywają w zdrowiu późnej starości
razem z nabytymi wadami

Wrogowie cywilizacji karmią się korzonkami
i nadzieją
Kiedy jednak jakiś kataklizm pozbawi ich
źródeł trwania – nie wpadają w panikę
tylko zjadają najlepszych spośród siebie

Wrogowie cywilizacji są przesądni
wierzą w magiczną moc czarów
Przede wszystkim zaś lękają się wysokich murów
krętych korytarzy i głębokich studzien
bo zniekształcają obraz Pana

Wrogowie cywilizacji gardzą
próżnym męstwem
Poddając się nakazom zwierzęcego rozsądku
wolą raczej uciec z pola bitwy
niż nadaremnie zginąć w zębach silniejszego

WOJNA I POKÓJ

Wygnańcy wojny zdobywają pola
naznaczone przez wiatr

Porzucone sztandary gniją
w strzeleckich rowach

Czyjaś czaszka wydobyta z ziemi
rozpływa się w obłokach

Zamknięte oczy widzą
narzędzia oprawców
sępy kołujące nad poduszką
w którą wsiąka krew

Poduszce śni się głowa

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

▲ **WOJSKA brytyjskie w Północnej Irlandii zbadały możliwość użycia pewnych aparatów świetlnych i akustycznych, jako broni przeciwko manifestantom. Częstotliwość emitowanych fal świetlnych, lub dźwiękowych, jest tak obliczona, że wywołuje rezonans z rytmem alfa mózgu, powodując uczucie zawrotu głowy i mdłości. Eksperci wojskowi wstrzymali się na razie od użycia tych aparatów, groźnych dla zdrowia ludzkiego. Na prezesa londyńskiej firmy „Allen International", której zlecono badania naukowe w tej dziedzinie, dokonano zamachu bombowego. („The Guardian" — W. Brytania).**

▲ **DOTKLIWY brak papieru jest dziś w Japonii problemem numer jeden. Minister handlu i przemysłu, M. Nakasone, przedłoży radzie ministrów projekt zarządzeń, mających złagodzić ostry deficyt papieru. Zgodnie z tym projektem, w urzędach państwowych wszystkie dokumenty będą pisane dwustronnie, ilość kopii zredukuje się do minimum, a użycie kopert będzie rygorystycznie limitowane. Dzienniki ograniczą objętość w wydaniach specjalnych, a wydawców przeglądów, magazynów i książek zobowiązuje się do precyzyjnego limitowania zwrotów. Wielkie przedsiębiorstwa zmniejszą do minimum ogłoszenia i reklamy. Duże sklepy i supermarkety wprowadzą ograniczenia przy pakowaniu sprzedawanych towarów. W 1972 roku zużyto w Japonii 13.700.000 ton papieru. Szacuje się, iż w przeciągu najbliższych 7 lat roczne zużycie papieru w Japonii wzrośnie o 80 procent i osiągnie zawrotną liczbę 24 milionów ton. Takiej masy papieru przemysł japoński nie będzie w stanie wyprodukować. („Asahi" — Japonia).**

▲ **FRANCUSKIE towarzystwo „Aluminium Pechiney" będzie głównym przedsiębiorstwem, budującym w Związku Radzieckim fabrykę zdolną do produkcji 260 tys. ton anody do elektrolizy aluminium. Będzie to chyba największa i najbardziej wydajna fabryka tego typu w świecie. Podpisany kontrakt na budowę tego giganta opiewa na 180 mln franków. („L'Express" — Paryż).**

▲ **KamAZ i fabryka samochodów w Togliatti — to dwa przykłady obopólnych korzyści, sprzyjających polepszeniu stosunków między Związkiem Radzieckim i kapitalistycznym Zachodem. Budowa takich kombinatów, koncentracja ludzi do pracy, wyposażenie samych fabryk w nowoczesne urządzenia — wszystko to wymaga mobilizacji środków w takiej skali, na jaką stać tylko Związek Radziecki. KamAZ jest największym przedsięwzięciem obecnego pięcioletniego planu radzieckiego. Wiele zachodnich firm uzyskało już duże zyski i zdobyło niezbędne doświadczenie w handlu wyposażeniem oraz dokumentacją technologiczną dla powstających fabryk. Przedstawiciele władz radzieckich z którymi przeprowadziliśmy wywiady tutaj, na budowie KamAZ, i w Togliatti, wyrazili swoje zadowolenie z wyników tego handlu oraz perspektyw jego rozwoju w przyszłości. Potrzeba niemało wysiłków, żeby w terminie wykonać zakreślone plany. Ale energia i zdecydowanie inżynierów i robotników są gwarancją, że fabryka rzeczywiście za rok lub dwa będzie już produkować nowoczesne samochody ciężarowe. („Washington Post" — USA).**

WYSOKA CENA „NAFTOWEJ BRONI"

Sześć milionów pięćset tysięcy Arabów przeciwko sześciuset pięćdziesięciu milionom konsumentów w Europie, Japonii i Stanach Zjednoczonych. W tej największej batalii ekonomicznej wszystkich czasów przewagę mają na razie mieszkańcy nadbrzeży Zatoki Perskiej: Arabia Saudyjska, Kuwejt i małe emiraty. A także Libia. Kraje te zmniejszyły dostawy nafty do krajów Zachodniej Europy do 4 milionów baryłek dziennie (1 baryłka = 159 litrów). Eksport do Stanów Zjednoczonych przerwał o całkowicie. Kraje arabskie wstrzymały eksport ropy naftowej do zakładów przemysłowych w Holandii, zaopatrujących w produkty naftowe Stany Zjednoczone i inne kraje zachodnie. Jeśli chodzi o finansową stronę tych decyzji, to kraje arabskie są przygotowane do długotrwałego ekonomicznego oblężenia. W październiku br., podnosząc gwałtownie ceny ropy naftowej osiągnęły one dochody rzędu 10 miliardów dolarów rocznie przy tym samym poziomie eksportu. I obecnie, nawet znacznie zmniejszając wydobycie, utrzymują dobre pozycje.

Świat arabski zaniechał więc wojny przeciwko Izraelowi. Zmienił broń. Dziś nafta ma rozwiązać problem odzyskania terytoriów, okupowanych od 1967 roku i przywrócenia Palestyńczykom ich praw. Nafta zwiększyła zasięg ognia: teraz cały Zachód jest tarczą strzelniczą.

W piętnaście lat po zawarciu porozumienia o Wspólnym Rynku, Zachodnia Europa rozleciała się z trzaskiem. Holandia znalazła się osamotniona w obliczu ekonomicznych decyzji krajów arabskich, mimo wielu wysiłków komisji Wspólnego Rynku w Brukseli. Król Fajsal, największy eksporter nafty, ogłosił dwie listy. Na pierwszej, dotyczącej restrykcji w dostawach nafty, znalazły się Stany Zjednoczone i Holandia. Na drugiej uprzywilejowanej — Francja, Wielka Brytania i Hiszpania.

W wyniku ostrego niedoboru nafty, wywołanego decyzją państw arabskich, wystąpiły gwałtowne starcia między krajami Zachodniej Europy i jednocześnie zaostrzyły się kontrowersje między Wspólnym Rynkiem a Stanami Zjednoczonymi. Obserwatorzy polityczni podkreślają, iż w krajach członkowskich EWG rośnie niezadowolenie z politycznej i ekonomicznej zależności Zachodniej Europy od Stanów Zjednoczonych, które wmanewrowały kraje EWG w obecną trudną sytuację.

Ograniczenia w wydobyciu i eksporcie nafty przez kraje arabskie wywarły także wpływ i na inne kraje, eksploatujące naftę. Indonezja podwyższyła ceny na swoją naftę o 20 procent, a Wenezuela — o 56 procent.

Obniżenie wydobycia nafty, embargo i podwyższenie cen na paliwo, pociągnęły za sobą daleko idące konsekwencje w krajach — importerach nafty. W Stanach Zjednoczonych oczekuje się na dalsze ostre ograniczenia w zaopatrzeniu w opał. Wielkie kompanie transportu lotniczego zawiesiły 160 przelotów na dobę, żeby oszczędzić na paliwie, a kompania „Trans World Airlines" przewiduje, iż z dniem 1 grudnia będzie zmuszona zwolnić czasowo z pracy około 500 pracowników.

W Holandii, jak wiadomo, wprowadzono nadzwyczajne ograniczenia w zużyciu benzyny. Na marginesie warto wspomnieć, że w toku ankietowego sondażu opinii publicznej w Holandii 79 procent ankietowanych wyraziło negatywną opinię o polityce rządu w konflikcie bliskowschodnim, a tylko 9 procent uznało ją za właściwą.

Anglia ma zapasy nafty na 3 miesiące, jednakże i tutaj przygotowuje się plany jej racjonowania.

Francja ma takie zapasy na 3 miesiące, ale rząd nie nosi się z zamiarem racjonowania nafty, przynajmniej w najbliższym czasie. Niemniej cena za litr benzyny wzrosła o 10 centymów, cena paliwa do silników Diesla — o 6,1 centyma, a cena na naftę do ogrzewania mieszkań — o 7,4 centyma na jednym litrze.

We Włoszech, w dążeniu do rozwiązania „naftowego problemu" planuje się zamknięcie stacji obsługi samochodów w soboty i dni świąteczne oraz trzykrotne podwyższenie opłat za korzystanie z autostrad.

Tylko Zachodnie Niemcy mają dostateczne zapasy nafty oraz dwa miliony ton nafty, magazynowanej w Holandii, skąd można je szybko dostarczyć do NRF w razie jakiejkolwiek potrzeby. Mimo to rząd Republiki Federalnej wprowadził znaczne już ograniczenia w użytkowaniu samochodów w soboty i święta. Wzrośnie także cena za naftę na opał.

Przedstawiciele japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych wyrazili opinię, iż konflikt na Bliskim Wschodzie oraz panika, wywołana decyzją krajów arabskich, mogą spowodować przeszkody w rozmowach na temat międzynarodowej reformy walutowej, jak również w nowej rundzie wielostronnych rozmów handlowych.

Przypuszcza się także, iż rozpoczęcie ważnych rozmów handlowych, które zgodnie z ustalonymi już terminami, powinny się rozpocząć wiosną przyszłego roku, zostaną znacznie przesunięte w czasie w wyniku następstw wojny na Bliskim Wschodzie. Przedstawiciele ministerstwa spraw zagranicznych Japonii są zdania, iż arabski bojkot naftowy, ogłoszony w związku z działaniami wojennymi na Bliskim Wschodzie, zaostrzył sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi a Francją i innymi krajami europejskimi.

Obserwatorzy polityczni przypuszczają, że konflikt bliskowschodni zostanie uregulowany ostatecznie nie wcześniej, niż za sześć miesięcy. Istnieją jednak obawy, że trzeba będzie o wiele więcej czasu na zlikwidowanie „ubocznych produktów" wojny na Bliskim Wschodzie, a przede wszystkim na polepszenie napiętych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Europą.

Do rejestru następstw konfliktu bliskowschodniego należy także wpisać jego wpływ na grupę krajów, którą nazywa się zazwyczaj Wspólnotą Atlantycką. Albowiem trudno nie powiedzieć o tym, że jeszcze przed wystąpieniem obecnego kryzysu było wiadome, że wspólnota trzeszczy w szwach. Symptomy jej rozkładu są dziś absolutnie oczywiste, a dowody na to — zupełnie konkretne. NATO ma kłopoty. A w momencie, kiedy amerykańskie wpływy polityczne w tradycyjnie zaprzyjaźnionych kręgach wyraźnie zmalały, przywódcy Wspólnego Rynku przygotowują się do zajęcia twardej pozycji w zbliżających się rozmowach handlowych z Waszyngtonem.

„L'Express"

Gdyby stosunki we Wspólnocie Atlantyckiej były tak gładkie, za jakie uważano je jeszcze kilka lat temu, Stany Zjednoczone, Zachodnia Europa i, być może, Japonia mogłyby się w jednolitym froncie przeciwstawić paliwowemu kryzysowi. Już sam fakt, że tego nie zrobiły, świadczy o napięciu w łonie samej organizacji.

Polityczni liderzy Zachodniej Europy przekonali się, że ich bezceremonialnie pominięto. Bliskowschodnia nafta jest może i ważna dla Stanów Zjednoczonych, ale dla Zachodniej Europy jest ona wręcz niezbędna. Zachodnia Europa nie jest skłonna do zawarcia umowy o międzynarodowym podziale paliwa, gwarantującej Stanom Zjednoczonym nieproporcjonalnie większą część istniejących zapasów.

Otmar Emminger, zastępca prezesa Federalnego Banku NRF, uprzedził, że gwałtowne podwyższenie cen na naftę może oznaczać dalsze zahamowanie postępu w stabilizacji międzynarodowej równowagi płatniczej. Zaznaczające się aktywne saldo płatniczego bilansu Stanów Zjednoczonych może być zagrożone, a Japończyków obecne wydarzenia mogą zepchnąć na drogę głębokiego deficytu.

Duży niepokój wzbudza także ewentualność spadku aktywności ekonomicznej krajów uprzemysłowionych, pogłębionej niepewnością dostaw nafty. To z kolei może skomplikować współpracę między Stanami Zjednoczonymi a Zachodnią Europą i Japonią, utrudnić przeprowadzenie rozmów handlowyh i poddać najtrudniejszej próbie ideę atlantyckiej solidarności.

A reperkusje w świecie wielkiego biznesu naftowego? Potężnym kompaniom, które przez 75 lat naszego stulecia odgrywały wiodącą rolę w międzynarodowym handlu ropą naftową, grozi teraz utrata kluczowych pozycji w dyktowaniu cen nafty. Miliardowe straty mogą one wyrównać tylko jedyną drogą: zrzucając ich brzemię na barki konsumentów, przez podwyższenie ceny produktów naftowych. Niemiła to perspektywa dla krajów zachodnioeuropejskich, toczących akurat walkę z inflacją, które importują dwie trzecie tej nafty oraz dla Japonii, która, faktycznie rzecz biorąc, jest całkowicie uzależniona od importu.

J. CZECH

• DEKLARACJA WSPÓŁPRACY POLSKO - BELGIJSKIEJ

• ROZMOWY NA 101 KM SZOSY KAIR - SUEZ

„Wizyta w Belgii przyczyni się z pewnością do dalszego znacznie szerszego rozwoju stosunków polsko-belgijskich" — powiedział Edward Gierek — I sekretarz KC PZPR na zakończenie swych rozmów w Brukseli. I w innym miejscu wypowiedzi dla PAP: **„Konkluzje, do których wspólnie doszliśmy, zostały zawarte w deklaracji o rozwoju przyjaznych stosunków i współpracy między Polską Rzecząpospolitą Ludową a Królestwem Belgii. Jest to ważny dokument, rozszerzający poważnie możliwości rozwoju w całokształcie wzajemnych stosunków".**

Zanim omówimy jego treść — przypomnijmy, że podpisany został również wieloletni układ o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej, naukowej i technicznej oraz wymieniono dokumenty ratyfikacyjne polsko-belgijskiej konwencji konsularnej.

Deklaracja o rozwoju przyjaznych stosunków i współpracy przynosi szereg ważnych postanowień. W dziedzinie stosunków międzynarodowych oba państwa zadeklarowały podejmowanie i popieranie wszelkich kroków, zmierzających do utrwalenia procesu odprężenia i zapewnienia bezpieczeństwa. Będą więc brać aktywny udział w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz rozmowach wiedeńskich na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Zadania tych rokowań odpowiadają bowiem celowi, do którego zmierzają oba kraje.

Deklaracja ustala, że raz w roku odbywać się będą spotkania na szczeblu ministrów Spraw Zagranicznych lub ich przedstawicieli, a konsultacje dyplomatyczne zostaną zintensyfikowane.

Dokument dużo uwagi poświęca współpracy na polu ekonomicznym. Przynosi on zgodne ustalenie przychylnego rozpatrywania wszelkich propozycji, które służyć będą rozwojowi stosunków oraz doskonalenia metod i instrumentów współpracy. Z mocy podpisanego 10-letniego układu działać będzie mieszana komisja, której prace dla wymienionego celu będą w pełni wykorzystane.

Obydwa państwa będą rozszerzać współpracę w dziedzinie naukowej i technicznej.

Trzeci rozdział deklaracji mówi m. in. o rozwoju współpracy kulturalnej, zacieśnieniu współpracy w dziedzinie szkolnictwa wyższego i badań podstawowych, szerszym rozpowszechnianiu informacji, rozwoju kontaktów zbiorowych i indywidualnych między obywatelami polskimi i belgijskimi.

Można zatem określić deklarację jako **podstawowy dokument i kierunkową wytyczną rozwoju stosunków polsko-belgijskich na całe lata.**

O zakresie omawianych problemów międzynarodowych dowiadujemy się ze wspólnego komunikatu polsko-belgijskiego.

Układy z NRF, postęp w stosunkach między ZSRR i USA, pomyślny przebieg pierwszego etapu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie — torują drogę odprężeniu. Duże znaczenie mają rozmowy rozbrojeniowe, których ważnym etapem mogłaby być światowa konferencja rozbrojeniowa.

Rola, jaką spełnia Organizacja Narodów Zjednoczonych, wymaga, aby organizację tę nadal umacniać i zapewniać jej uniwersalny charakter.

Wyrażono zgodny pogląd, iż dla sytuacji w Indochinach niezbędne jest skrupulatne przestrzeganie postanowień porozumień paryskiego i vientiańskiego.

Omawiano także sytuację na Bliskim Wschodzie, wyrażając przekonanie, że trwałe i sprawiedliwe rozwiązanie konfliktu, a zatem takie, które gwarantuje prawo do egzystencji oraz bezpieczeństwo wszystkim państwom możliwe jest tylko w oparciu o rezolucję Rady Bezpieczeństwa z listopada 1967 r.

Komunikat podkreśla, że **„poglądy Polski i Belgii w większości omawianych problemów międzynarodowych są identyczne lub zbieżne".**

Już z tego skrótowego przeglądu dokumentów wizyty widać, jaką spełniła ona rolę. Odbiła się też dużym echem w Europie. Prasa zagraniczna podkreśla, że wspólne postanowienia polsko-belgijskie są korzystne nie tylko dla obu państw, ale również całej Europy. Na naszym kontynencie — piszą gazety, powołując się na przemówienie Edwarda Gierka — konieczna jest likwidacja barier ekonomicznych, aby była możliwość rozwoju wymiany między państwami RWPG i EWG — wolnej od restrykcji.

* * *

W przeglądzie aktualnych wydarzeń międzynarodowych byłoby tym razem do odnotowania wiele faktów. Najbardziej jednak interesuje nas rozwój wydarzeń bliskowschodnich. Co nowego dzieje się w tym rejonie?

Przede wszystkim trwają rozmowy wojskowych przedstawicieli Egiptu i Izraela, które toczą się w namiocie wojsk ONZ na 101 km szosy Kair — Suez. Ich celem jest ewakuacja oddziałów izraelskich na pozycje z 22 października br. i oddzielenie wojsk obu stron na całym froncie egipsko-izraelskim. Nie przyniosły one do chwili pisania tego komentarza żadnego wyraźnego postępu, chociaż rzecznik ONZ poinformował, że obie strony przejawiły „konstruktywne podejście".

Tymczasem w Algierze spotkali się ministrowie Spraw Zagranicznych państw arabskich, aby przedyskutować i uzgodnić nową strategię polityczną, gospodarczą i wojskową. Prasa zachodnia pisze w związku z tą naradą, iż przykręcenie kurka naftowego okazało się dla krajów arabskich korzystne. Zachęca to do dalszych kroków, które z pewnością zostaną podjęte, jeśli mocarstwa zachodnie nie wpłyną na postawę Izraela.

Żywo komentowany jest również zwrot w bliskowschodniej polityce Japonii, która teraz jednoznacznie opowiada się za oddaniem przez Izrael wszystkich zagarniętych terytoriów. Oświadczenie rządowe zapowiada możliwość zrewidowania stosunków z Izraelem, jeśli on nie wycofa swych wojsk. W Tokio mówi się nawet o ewentualności zerwania stosunków dyplomatycznych.

W. SŁAWSKI

— Czy nie mogliby im od razu dać dwóch piłek?

SZTUKA ŁÓDZKA

Choć minęła kulminacja obchodów 550-lecia Łodzi i 150-lecia łódzkiego przemysłu wiele jeszcze nas czeka interesujących inicjatyw z tej okazji. Właśnie w tych dniach rozpoczyna się sesja naukowa łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Jej temat to „Sztuka łódzka".

W tym haśle wywoławczym mieści się właściwie wszystko – i tak też pomyślano program sesji, aby zawrzeć w niej najważniejsze sprawy sztuki związanej z Łodzią i regionem. Ramy czasowe owej problematyki określają dwa referaty. Pierwszy, otwierający obrady, mówi o mecenacie artystycznym ziem łęczycko-sieradzkich w XVII i XVIII wieku (dr Teresa Kmiecińska-Kaczmarek). Drugi, zamykający obrady, mówi o środowisku plastycznym Łodzi po II wojnie światowej (doc. dr Henryk Anders).

Dwa dni obrad mieszczących się w tych ramach wypełnione są referatami, które odnotujmy stylem telegraficznym, bowiem nieraz jeszcze wrócimy do tych spraw.

Tak więc dr Jacek Ojrzyński przedstawi zarys problematyki kultury szlacheckiej województw łęczyckiego, sieradzkiego i rawskiego w wiekach XVII i XVIII; dr Julian Kaczmarek omówi przyczyny powstania łódzkiego okręgu przemysłowego; mgr Antoni Szram mówić będzie o urbanistyce Łodzi lat 1800–1841; mgr Andrzej Majer o łódzkich architektach secesji i eklektyzmu; mgr Witold Hanke przedstawi nieznane realizacje Radix Jesse; mgr Tadeusz Byczko omówi łódzkie witraże na przełomie XIX i XX wieku, a mgr Wojciech Walczak – konkursy architektoniczne w latach 1918–1930.

Takim bogatym zestawem tematów zamknie się pierwszy, sobotni, dzień obrad. W najbliższą niedzielę mgr Janina Ładnowska przedstawi problemy plastyki łódzkiej w latach 1918–1930; mgr Janusz Zagrodzki omówi kompozycje przestrzenne Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego, a mgr Anna Łabęcka wystąpi z referatem „Łódź – miasto awangardy". Obrady zakończy wspomniany już referat doc. dr Henryka Andersa.

Tyle zwięzłej informacji. Nie sposób bowiem w krótkim feljetonie omówić choćby część spraw sygnalizowanych na sesji. Myślę jednak, że sam zestaw referatów daje wyobrażenie o skali problematyki.

Warto jednak zwrócić uwagę na referat Andrzeja Majera o dwóch wybitnych architektach łódzkich – Dawidzie Lande i Gustawie Landau-Gutentegerze. Ich biografie artystyczne są podobne – obaj projektowali w stylu eklektycznym, a Lande był jednym z prekursorów secesji na gruncie polskim. Dużą indywidualnością był też Gutenteger, który zrealizował w Łodzi sporo obiektów – najciekawszy to zapewne secesyjna willa przy ul. Wólczańskiej 31/33. Biografie obu architektów są dziś już trudne do odtworzenia – wiemy o nich mało – pozostały tylko dzieła, nieraz bardzo piękne i ambitne, choć twórcy często byli zmuszeni rezygnować z ambitnych projektów na rzecz gustów fabrykanckiego inwestora. Był to, jak wiadomo, mecenas sztuki dość specyficzny. Najlepiej chyba charakteryzuje to stara anegdotka o Poznańskim.

Otóż na pytanie architekta, w jakim stylu zaprojektować ma jego pałac (gmach dzisiejszej WRN), Poznański odparł: „Co to jest w jakim stylu? We wszystkich stylach! Mnie stać na to! Może to być cały paryski Luwr!"

Innej epoki i innych spraw dotyczy referat Janusza Zagrodzkiego o kompozycji przestrzeni Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego. Referat obejmuje rozwój koncepcji „kompozycji przestrzeni" – od pierwszych prób Katarzyny Kobro – rzeźb konstruowanych przy pomocy przeźroczystych ścian – do określenia systemu harmonijnego wiązania form w przestrzeni, dokonanego wspólnie ze Strzemińskim około roku 1930. Strzemiński i Kobro postawili tezę kompleksowego systemu organizacji, w oparciu o nową, postępową formułę życia społecznego — znacznie wyprzedzającą czasy ówczesne. Poglądy Strzemińskiego wybiegały daleko w przyszłość, podnosiły problemy charakterystyczne dla architektury dnia dzisiejszego. Nie od rzeczy będzie dodać, że kształt i charakter obecnej zabudowy przedmieść Łodzi powstał w umyśle Strzemińskiego przed prawie czterdziestu laty...

Na zakończenie informacja. Wszystkie referaty znajdą się w tomie zbiorowym, który ukaże się w początkach przyszłego roku. Należałoby sobie życzyć, aby ów tom studiów nad łódzką sztuką nie był „białym krukiem", aby można go było po prostu kupić, aby się znalazł w bibliotekach.

WIDOK

FRYZURY

ANDRZEJ GRUN

Bieszczady – jęknie zrozpaczony rębacz.

– Jak pan taki mądry, to sam pan rąb te gnaty!

Zamienią się miejscami z pełnym zrozumieniem i już nigdy nie będą sobie wymyślać.

Albo u fryzjera. Fryzjer tnie naskórek, klient się krzywi. Fryzjer siada w fotelu, a jego niedoszła ofiara bierze się do dzieła. Teraz fryzjer się krzywi i patrzy z rozpaczą w lustro na własne oblicze, które ślicznie się zamienia na zrazy siekane. Klient wtedy z przemiłą uniżonością:

– Pan szanowny się krzywi? Nie trzeba, my panu szanownemu tu troszkę, tam troszkę ałunkiem potrzemy i buziuchna cacy, cacy!

I już jest sztama, atmosfera pełnego zrozumienia, nikt się więcej nie krzywi.

To samo dotyczy prasy, która winna wyjść z papierowego zaścianka, nie zapominając, rzecz jasna, o hojnym czerpaniu ze słownika zasobnego w słów trzysta, by podźwignąć temat i obwieszczać na gorąco, że w poszukiwaniu rezerw zaangażowana załoga zaadaptowała wrak autobusowy na pakamerę dla budowlanych i niebawem odlutuje drzwi, które zalutowano sposobem gospodarczym.

Już liczne przykłady świadczą, że trzeba być blisko życia, bo to wychodzi tylko na dobre. Nie na darmo reporterzy zatrudniali się jako dozorcy, kelnerzy, blacharze, tudzież zamykali się w domach wariatów albo klozetach.

Jeśli idzie o własne podwórko, to pamiętam, że Konrad Frejdlich w roli marynarza topił się w Bałtyku, potem kazał się zamknąć w Izbie Wytrzeźwień i zaraz wszystko wiedział, a Andrzej Makowiecki gryzł kwaśne jabłka, żeby poznać smak reporterskiej doli.

Mnie też to nie ominęło, pragnąc bowiem poznać duszę chłopską i krowę, wziąłem udział w litkupie, po czym zacząłem doić wystawioną na sprzedaż krowę, ale ta wierzgnęła i było po kupnie...

Bardzo dobrym wzorem do naśladowania jest mój nauczyciel i opiekun, P. Goszczyński, któremu bardzo wiele zawdzięczam i dziękuję nawet za to, że kiedy byłem nieposłuszny, szturchał mnie szpicem buta albo targał za ucho Goszczyńskiego bardzo lubię, bo jest mu dobrze w przebraniu. Chciałbym tak jak on przebrać się za fetniaka, pójść pod budkę z piwem, a potem na wódkę do „Szewczyka" i zdrążyć duszę marginesu społecznego. Ale cholera wie, czy zdrążę, bo chyba nie okażę się takim dobrym fetniakiem. Z owłosieniem u mnie krucho, co zresztą mój nauczyciel wypominał mi na każdym kroku..

Ale spróbować warto. Kto siedzi, ten nie ryzykuje. Trzeba wstać i ruszyć z kopyta!

GONTAL

KRASNOLUDKI

Zawsze odnosiłem się z szacunkiem do tego, kto wymyślił krasnoludki, ale okazało się, że byłem naiwny. Krasnoludków nikt nie wymyślał, one od dawna są na świecie. Przypomnę tylko, że prawdę tę stwierdził już swego czasu Teofil Ociepko, który po długiej dyskusji na temat tego, czy krasnoludki są na świecie, zapytał z całym spokojem:

– No dobrze, mówicie, że nie ma, a to, co stoi w kącie pokoju, to kto?

Nie będę chwytał się takiego argumentu, aby przekonywać kogokolwiek o istnieniu krasnoludków. Zresztą wystarczy przyjrzeć się uważnie rzeczywistości, aby stwierdzić niezbicie, że na świecie są dobre i złe krasnoludki. Dobre – pomagają ludziom. Złe – utrudniają im życie.

Przeżył człowiek już to i owo, widział niejedno i z niejednego pieca, a raczej piekarni – jadł chleb. Jednak jak tylko sięgam pamięcią w przeszłość, zawsze pamiętam, że wszyscy chwalili się o swojej gotowości do walki z przeciwnościami. Był czas, kiedy na świat cały wołaliśmy, że jesteśmy „Silni, zwarci, gotowi", a później trzeba było aż 6 lat, aby odegrać się na pewnym malarzu z wąsikiem. Ale nie o tak wielkie sprawy mi chodzi.

Jak daleko sięgam pamięcią, to zawsze po lecie następowała jesień, a po jesieni – zima i tak dalej w kółko. Dla ludzi myślących z takiego kołowrotka wynikają pewne dyspozycje. Pod koniec lata trzeba przygotować się do jesieni, a jesienią – do zimy. I nie powiem, od czasu do czasu można przeczytać w gazetach, że owszem – jesteśmy przygotowani na wszystko najgorsze, a kiedy przychodzi to najgorsze, to okazuje się, że jest ono gorsze od tego, czego spodziewaliśmy się i w końcu – do niczego nie jesteśmy przygotowani.

Jak daleko sięgam pamięcią, to zawsze pod koniec lata pisało się i mówiło o tym, że zbliża się jesienny szczyt przewozów. Wtedy wszyscy deklarowali, że są do niego dobrze przygotowani. I radość panowała powszechna. Ale do akcji włączały się złe krasnoludki. To one spowodowały, że w październiku 1973 roku „Baculit" z Wyszkowa przetrzymał 154 wagony przez 13 898 godzin, żerańska FSO – 356 wagonów przez 4 277 godzin, a zgierska „Boruta" – 102 wagony przez 1 299 godzin. Mógłbym już dalej nic nie pisać, tylko wymieniać fabryki i przedsiębiorstwa oraz wagony i godziny. Ale tego nie zrobię, bo wierzę również w dobre krasnoludki, które w ciężkiej walce ze złymi powodują, że organizatorem transportu i zaopatrzenia przychodzi nagle dobry pomysł do głowy i wagony są rozładowywane na czas.

Przykładem walki złych i dobrych krasnoludków może też być krakowski PIH, bo przecież nikt rozsądny nie ośmieli się pomyśleć, że inspektorzy Państwowej Inspekcji Handlowej, a więc ludzie powołani do ochrony czystości handlu i rzemiosła, mogliby tak dalece pozwolić sobie na poniżanie ich godności, aby brać łapówki. Wprawdzie prezes Wojewódzkiej Izby Rzemieślniczej w Krakowie usiłował zwalić całą winę na skompromitowany system zaopatrywania rzemiosła w surowce, a nowy dyrektor krakowskiej PIH – na brak wewnętrznej kontroli. Ale ja im nie wierzę. Nikt przecież rozsądny, uznający konieczność istnienia i rozwijania drobnej wytwórczości, nie wymyśli takiego systemu zaopatrywania tejże drobnej wytwórczości, który podcinałby jej korzenie. To proste – widzę tu działalność krasnoludków. Człowiek jest przecież istotą myślącą i nie postępowałby wbrew własnym interesom.

Pocieszające jest jednak to, że zwyciężyły dobre krasnoludki, które podszepnęły komu trzeba, że inspektorzy PIH, zamiast stać na straży praw, sami je naruszają. No i przyszły złe czasy na PIH i nie tylko w Krakowie.

Kiedy zbliża się zima, czytam w gazetach zapewnienia, że jesteśmy znów przygotowani na najgorsze. Widać jednak w tych rachubach nie bierzemy pod uwagę działalności złych krasnoludków. Ledwie spadło trochę śniegu, ledwie mróz ściął powierzchnię wód, a już Dziennik Telewizyjny pokazał porozbijane samochody na krakowskich drogach. Ludzie byli przygotowani na najgorsze, nie przewidzieli jednak działalności krasnoludków. Błąd.

W województwie łódzkim też są wszyscy przygotowani na najgorsze. Tutejsi drogowcy dysponują nawet własnymi mikrostacjami klimatycznymi, jakby nie było PIHM. Ale ja ich nawet rozumiem. Ja też Wicherkowi nie wierzę i wiem, że jak zapowiada deszcz, to będzie świeciło słońce i vice versa. Lepiej więc mieć na wszelki wypadek własny, mały PIHM. Tak więc drogowcy województwa łódzkiego są przygotowani na wszystko, chociaż „cały zmechanizowany sprzęt do odśnieżania jest już wysłużony i jest go mało". Ledwie spadnie śnieg, a zaraz „samochody obsługujące aktualne inwestycje drogowe zamienia się na pługi i równiarki". Drogowcy otrzymali też 50 radiotelefonów, „które zapewnią stałą łączność z zimowymi bazami". Mam oczywiście nadzieję, że te radiotelefony będą obsługiwali ludzie a nie krasnoludki. Znam bowiem pewną instytucję, gdzie też zainstalowano swego czasu w samochodach radiotelefony. Tylko, że teraz posługują się nimi krasnoludki, bo dla ludzi okazały się one nieprzydatne — nie działają.

Proszę jednak nie myśleć, że ja występuję przeciw krasnoludkom. Nic podobnego. Osobiście bardzo je lubię, bo wiem, że obok złych są i dobre. I póki są te dobre, nam ludziom nie może się stać nic złego, jako że zawsze dobro zwycięża zło. Możemy spać spokojnie. Czuwają nad nami dobre krasnoludki.

RODAK

BLIŻEJ ŻYCIA

Kain zrobił Ablowi świństwo, a że nie było jeszcze porządnych, niezawisłych sądów, to moda się przyjęła i zaraz każdy, kto miał niewygodnego faceta pod ręką, robił mu kiziu-kiziu na grdyce. Teraz sądy są jak trzeba, więc tych od kiziu-kiziu coraz mniej, bo się boją. Ale człowiek człowiekowi wilkiem pozostał i tylko patrzy, gdzie by tu klapnąć zębami. Że zaś z chlebem trzeba oszczędnie, przeto wali się w bliźniego samymi kamieniami. Dobrze, że się wszystko zalewa asfaltem, bo inaczej wytłuklibyśmy się do imentu, zwłaszcza, że okazji nie brakuje. Na ulicy, w sklepie, u fryzjera, w tramwaju oraz w każdym miejscu, które jego jest.

Jedni twierdzą, że to przez nerwową szarpaninę, uczeni socjolodzy zaś, że się nie znamy. I ja się z tym zgadzam. Jesteśmy w środku życia, a przecież tak daleko od niego. A powinniśmy być bliżej. Gdyby jeden człowiek poznał dobrze życie drugiego, gdyby zwłaszcza zgłębił tajniki jego pracy, to łacniej by się wczuł, zrozumiał i uszanował. W związku z tym proponuję eksperyment „na poprzestawianie" oraz podszywanie się.

Zbolały nabywca nadzianego złomem pieczywa staje do roboty na nocnej zmianie w piekarni. Piecze w pocie czoła i łapie zaczątki pylicy. Rano piekarz kupuje u niego pieczywo, przełamuje je i wrzeszczy:

– Eh, ty taki owaki, sznurkiem chcesz obywateli karmić?

– G... mnie to obchodzi – jednonocny piekarz na to – skoro taką mąkę mi dali!

A potem rozchodzą się w pokoju, bo się zrozumieli.

Najbardziej pyskata osobniczka z kolejki w sklepie mięsnym może zająć miejsce rębacza, ten zaś stanąć na końcu ogonka. A gdy rębacz po godzinie dotrze do lady i zacznie wybrzydzać i wskazywać paluchem upatrzony kawałek, nowa rębaczowa winna machać mu tasakiem koło palucha, żeby się wystraszył. Potem ciachnie kawał gnata z odrobiną mięsa.

– Idźże pani na wyręby w Bieszczady – jęknie zrozpaczony rębacz.

– Jak pan taki mądry, to sam pan rąb te gnaty!

Zamienią się miejscami z pełnym zrozumieniem i już nigdy nie będą sobie wymyślać.

Albo u fryzjera. Fryzjer tnie naskórek, klient się krzywi. Fryzjer siada w fotelu, a jego niedoszła ofiara bierze się do dzieła. Teraz fryzjer się krzywi i patrzy z rozpaczą w lustro na własne oblicze, które ślicznie się zamienia na zrazy siekane. Klient wtedy z przemiłą uniżonością:

– Pan szanowny się krzywi? Nie trzeba, my panu szanownemu tu troszkę, tam troszkę ałunkiem potrzemy i buziuchna cacy, cacy!

I już jest sztama, atmosfera pełnego zrozumienia, nikt się więcej nie krzywi.

To samo dotyczy prasy, która winna wyjść z papierowego zaścianka, nie zapominając, rzecz jasna, o hojnym czerpaniu ze słownika zasobnego w słów trzysta, by podźwignąć temat i obwieszczać na gorąco, że w poszukiwaniu rezerw zaangażowana załoga zaadaptowała wrak autobusowy na pakamerę dla budowlanych i niebawem odlutuje drzwi, które zalutowano sposobem gospodarczym.

Już liczne przykłady świadczą, że trzeba być blisko życia, bo to wychodzi tylko na dobre. Nie na darmo reporterzy zatrudniali się jako dozorcy, kelnerzy, blacharze, tudzież zamykali się w domach wariatów albo klozetach.

Jeśli idzie o własne podwórko, to pamiętam, że Konrad Frejdlich w roli marynarza topił się w Bałtyku, potem kazał się zamknąć w Izbie Wytrzeźwień i zaraz wszystko wiedział, a Andrzej Makowiecki gryzł kwaśne jabłka, żeby poznać smak reporterskiej doli.

Mnie też to nie ominęło, pragnąc bowiem poznać duszę chłopską i krowę, wziąłem udział w litkupie, po czym zacząłem doić wystawioną na sprzedaż krowę, ale ta wierzgnęła i było po kupnie...

Bardzo dobrym wzorem do naśladowania jest mój nauczyciel i opiekun, P. Goszczyński, któremu bardzo wiele zawdzięczam i dziękuję nawet za to, że kiedy byłem nieposłuszny, szturchał mnie szpicem buta albo targał za ucho Goszczyńskiego bardzo lubię, bo jest mu dobrze w przebraniu. Chciałbym tak jak on przebrać się za fetniaka, pójść pod budkę z piwem, a potem na wódkę do „Szewczyka" i zdrążyć duszę marginesu społecznego. Ale cholera wie, czy zdrążę, bo chyba nie okażę się takim dobrym fetniakiem. Z owłosieniem u mnie krucho, co zresztą mój nauczyciel wypominał mi na każdym kroku..

Ale spróbować warto. Kto siedzi, ten nie ryzykuje. Trzeba wstać i ruszyć z kopyta!

GONTAL

HISTORYCZNE LEKTURY

Bardzo, bardzo różne są względy, które powodują, że sięgamy po lekturę historyczną. Jedni poszukują w niej zaspokojenia swojej ciekawości innych spraw niż te, które ich otaczają, chociaż tego rodzaju potrzeby na pewno lepiej zaspokoi dobra literatura, niż zła, powierzchniowo –, anegdotyczna historia. Inni z kolei udają się do historii po to, aby odnaleźć w niej drogowskaz postępowania w nadziei, że władna jest ona udzielać lekcji teraźniejszości. Wiemy jednak, że z tymi lekcjami historii bywa bardzo różnie, oraz że powtarzany od czasów Cycerona pogląd o niej, jako „nauczycielce życia", jest równie popularny, co trudny do naukowego uzasadnienia. Historia nie posiada władzy udzielania wszechrozwiązujących recept na wszystkie ludzkie dylematy, jeżeli jednak coś nam potrafi przynieść, to historyczną perspektywę dla zrozumienia świata, w którym żyjemy i który tworzymy. I na tym chyba polega, nie tylko zaś na zaspokajaniu uzasadnionej ciekawości człowieka pragnącego się dowiedzieć, jak i kiedy inaczej ludzie żyli, jej współczesny sens społeczny, jej rola dla naszego teraźniejszego myślenia i działania.

Obcokrajowcy, z którymi często wypada się nam wszak stykać, skłonni są nieraz posądzać nas, Polaków, o jakąś swoistą, chorobliwą obsesję „historyczności", nie rozumiejąc dlaczego w tak znacznej mierze jesteśmy wciąż wrażliwi na sprawy, dotyczące naszych bliższych i dawniejszych dziejów, podczas kiedy dla nich są to już nieraz sprawy całkowicie zamknięte, a w każdym razie bardzo odległe. Nie ulega wątpliwości, że postać Napoleona budzi dziś jeszcze w Polsce znacznie większe zainteresowanie niż we Francji, co więcej, łączymy z nią nieraz postawy emocjonalne, które tam już dawno zostały przezwyciężone. Obiektywizacja spojrzenia w przeszłość wówczas, gdy tę przeszłość w tej bądź innej mierze odczuwamy jako żywą tradycję, jest niechybnie utrudniona i stąd podejmowane przez naukowe dziejopisarstwo próby zobiektywizowania historycznego sądu w odniesieniu do bardzo wielu kręgów problemowych napotykają, bo muszą napotykać na opory, objawy niezadowolenia, a przynajmniej na zachnięcie się wielu czytelników. Tym trudniejsza, a jednocześnie bardziej odpowiedzialna jest rola tego historyka – badacza, który nie chce, zresztą najsłuszniej, przejść mimo zagadnień społecznie ważnych i nie chroni się w te rejony przeszłości, które mogą być dla nas, za wyjątkiem bardzo wąskiego grona profesjonalistów, doskonale obojętne.

Wbrew utyskiwaniom niektórych publicystów wydaje się, że nasza współczesna historiografia w coraz większym zakresie podejmuje problematykę rzeczywiście nieobojętną dla współczesnego człowieka. Domaganie się jednak od nauki historycznej, a co za tym idzie i wydawnictw publikujących dzieła historyczne, aby całkowicie zrezygnowały z prac o tematyce obchodzącej bardzo niewielu ludzi, bądź nie interesującej dzisiaj nikogo jest utopią, która może przybrać kształt utopii szkodliwej. Rozwój naukowego poznania jest w historii, podobnie jak w innych naukach społecznych, długotrwałym procesem, przebiegającym bynajmniej nie prosto, zaś to, co dziś uważamy za mało istotne, na innym etapie rozwoju naukowego poznania może się okazać prawdziwą rewelacją. Zresztą nie jest to jakaś specyficzna cecha tylko historii jako nauki; wielu z nas dobrze pamięta, że wcale niedawno liczni poważni ludzie uważali, że zajmowanie się lotami kosmicznymi przystoi jedynie autorom fantastycznych powieści dla młodzieży, tęskniących za sukcesami w rodzaju Jules Verne'a. Inna sprawa, to zagadnienie proporcji tytułów i nakładów – jest to na pewno bardzo istotny problem dla polityki wydawniczej i wiele jest w tym zakresie do zrobienia. Zbyt często prace historyczne, podejmujące problematykę istotnie ważną, a jednocześnie takie, które mogą i powinny dotrzeć do szerszych kręgów czytelników, ukazują się w niewielkich nakładach, wielekroć mniejszych niż różne bezwartościowe produkty nieuctwa czy grafomanii. Nie zdobyliśmy się jak dotychczas, i pewnie prędko się nie zdobędziemy na to, by bodaj tylko najcenniejsze dzieła naszej historiografii były stale dostępne dla czytelników. Na razie tego rodzaju postulatom staramy się uczynić zadość jedynie (lub niemal jedynie) w odniesieniu do literatury pięknej.

Ale przecież warto odnotować, że i na obszarze historii coś się zmienia na lepsze. Wydawnictwo, które nie stroni od naukowych publikacji humanistycznych, chociaż na pewno nie nimi się głównie interesuje, mianowicie PIW, wystartował z serią zatytułowaną „Klasycy Historiografii Polskiej": mam właśnie przed sobą wydane w jej ramach dzieło Marcelego Handelsmana „Rozwój narodowości nowoczesnej", w opracowaniu Tadeusza Lepkowskiego, w najbliższym czasie ma się ukazać wspaniały (również pod względem czytelniczym) „Książę Józef Poniatowski" Szymona Askenazego w edycji Andrzeja Zahorskiego, w przygotowaniu są wcale liryczne inne dzieła, wśród nich zaś oddane już do wydawnictwa „Dzieje Polski w zarysie" Michała Bobrzyńskiego, wedle wersji autorskiej pierwszego wydania. To już sporo, aczkolwiek na pewno nie wszystko, co należałoby uczynić, boć poza tymi uczonymi – historykami, których możemy obdarzyć mianem „klasyków", jest jeszcze miejsce na... klasyków współczesności, jak należałoby mienić tych wybitnych twórców współczesnych, którzy działają i piszą, a których prace momentalnie znikają z półek księgarskich.

LEKTOR

„OKRĘT WIDMO"

Pisaliśmy niedawno w „Ex librisie" o Fredericku Marryacie, angielskim dziewiętnastowiecznym pisarzu, który nim chwycił za pióro, był oficerem brytyjskiej marynarki wojennej. Pisaliśmy z okazji wydanej przez Wydawnictwo Morskie dwutomowej, po raz pierwszy zresztą w pełnym przekładzie, powieści „Peter Simple". Tym razem otrzymaliśmy kolejną powieść Marryata „Statek widmo". Powieść powstała w roku 1839, po odbyciu przez pisarza podróży do Stanów Zjednoczonych. I tutaj, pisarz — stary wilk morski — pozostaje wierny swojemu gatunkowi literackiemu: powieści awanturniczej. „Okręt widmo" to próba jeszcze jednej literackiej wizji starej legendy o Latającym Holendrze.

S. Thompson w swojej popularnej klasyfikacji tak scharakteryzował motyw Latającego Holendra: „Kapitan marynarki z powodu swego występku wiecznie żegluje na widmowym statku, nie osiągając nigdy portu".

Odpowiedź na pytanie — dlaczego kapitan musiał wiecznie żeglować — znajdziemy w powieści Marryata, w której bohaterem jest nie tyle Latający Holender, co jego syn, Filip, zmierzający do spotkania z ojcem. Powieść dostarcza mnóstwo emocji i dreszczyku w obfitych porcjach, choć horror w wydaniu Marryata ma zabarwienie mocno romantyczne. Z tym wszystkim jest to powieść na pewno do czytania, głównie dla młodzieży, choć można podejrzewać, że i wielu dorosłych czytelników będzie się pasjonować opowieścią o widmowym okręcie.

Frederick Marryat — „Okręt widmo", tłum. M. Boduszyńska-Borowikowa, Wyd. Morskie, Gdańsk, 1973, str. 478, cena 30 zł.

„TRZY PODRÓŻE"

Tym razem Wydawnictwo Morskie odwołało się do przeszłości, „Trzy podróże" to wspólne wydanie utworów: Jana Kochanowskiego „Pamiątka wszytkimi cnotami hojnie obdarzonemu Janowi Baptyście hrabi na Tęczynie, belskiemu wojewodzie i lubelskiemu staroście", Andrzeja Zbylitowskiego „Droga do Szwecyjej namożniejszego w północnych krainach pana Zygmunta III polskiego i szwedzkiego króla odprawiona w roku 1549" i Tobiasza Grotkowskiego „Podróż morska dwu studiujących Polaków", powstała w roku 1760 w wyniku podróży autora, powracającego z Amsterdamu do Gdańska.

Co skłoniło wydawców do połączenia tych trzech utworów poetyckich, trzech tak bardzo różniących się i twórczością i uznaniem poetów? Mówiąc najkrócej — motyw podróży morskiej. Nie wdając się bliżej w omawianie utworów, czytelnik znajdzie zresztą w książce bardzo obszerny wstęp historyczno-literacki Edmunda Kotarskiego, można przewidzieć, że niewielki nakład w ilości 1000 egzemplarzy rozejdzie się głównie wśród polonistów. Tym bardziej, że obecne wydanie przygotowano według najwcześniejszej edycji, bądź jak w wypadku Tobiasza Grotkowskiego — według rękopisu, opierając się na zasadach publikowania tekstów staropolskich. Na uwagę zasługuje także starannie skomponowana szata graficzna.

„Trzy podróże" — wstęp i objaśnienia Edmund Kotarski, Wyd. Morskie, Gdańsk, 1973, str. 171, cena 30 zł.

„BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI"

Knut Hamsun, prozaik norweski, autor słynnego „Głodu", miał w swoim życiu lata sławy i niesławy. Pierwsze, związane były z otrzymaniem w roku 1920 nagrody Nobla, drugie — z ostatnim okresem jego życia, które Hamsun przeżył w odosobnieniu za niechlubne związanie się w czasie okupacji z ideologią faszystowską i wstąpieniem do organizacji quislingowskiej. Tylko z uwagi na podeszły wiek sąd norweski skazał go za kolaborację na wysoką grzywnę. Tyle o biografii pisarza, który jednak pozostawił po sobie dzieła w literaturze światowej znaczące.

W serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich ukazała się ostatnio jego powieść „Błogosławieństwo ziemi", za którą to właśnie powieść autor otrzymał nagrodę Nobla. To największe dzieło Hamsuna jest bodaj najgłębszym pokłonem przed naturą. Epicka opowieść łączy w sobie mistycyzm ziemi i życia, ukazuje ludzi, których życie wewnętrzne silnie związane jest z przyrodą. Motyw, jakże często powtarzający się w literaturze skandynawskiej.

Knut Hamsun „Błogosławieństwo ziemi", przekł. Czesława Kędzierskiego. Wyd. Poznańskie, Poznań 1973, str. 376, cena 36 zł.

„SIEDEM OBRAZKÓW"

Okres największej sławy Alberta Dama przypadł na lata sześćdziesiąte naszego stulecia. Stał się wówczas duchowym przywódcą „odnowicieli" — grupy młodych literatów duńskich o aspirujących odkrywczych w dziedzinie formy i treści powołujących się na brytyjską „angrymen generation", francuską „antypowieść" i Normana Mailera, obficie tłumaczonego ostatnio w polskich periodykach z okazji jego wspomnień o Marylin Monroe. Wracając jednak do Alberta Dama, to warto zaznaczyć, że szczyt jego sławy przyszedł dość późno, zważywszy, że pisarz zmarł w roku 1972, w wieku 92 lat. „Siedem obrazków" pochodzi właśnie z tego najpopularniejszego okresu i jest niejako literackim credo autora, który przypadkowe losy jednostki zawsze starał się rozpatrywać w szerszym kontekście uwarunkowań społecznych. „Siedem obrazków", siedem opowieści o ludziach z dawnych, teraźniejszych i przyszłych czasów, jest próbą określenia miejsca człowieka w świecie i w naturze, w świecie, który wartość materialną przedkłada ponad sprawy ducha. Dojrzały, rzec można, wyrafinowany styl, znamionuje pisarstwo Dama. Za „Siedem obrazków" otrzymał nagrodę krytyków i Związku Pisarzy w Danii.

Albert Dam — „Siedem obrazków", przekł. F. Lund-Jaszuński, Wyd. Poznańskie, Poznań 1973, str. 167, cena 20 zł.

„DO BRZEGÓW GRENLANDII"

W roku 1969 polscy żeglarze na jachcie „Freya" wypłynęli do Grenlandii. Załoga otrzymała później od Gdańskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego honorową „nagrodę Conrada", a dowódca wyprawy, dr Dariusz Bogucki, spisał jej historię. Tak powstała książka „Do brzegów Grenlandii". Autor, z zawodu inżynier budowy okrętów, pracownik naukowy przemysłu okrętowego, uprawia żeglarstwo od 1946 roku. W roku 1965 uczestniczył w wyprawie do Islandii na jachcie „Kismet", w 1971 dowodził w rejsie jachtu „Mestwin" do Spitzbergenu. „Do brzegów Grenlandii" — to już druga książka Boguckiego; w roku 1970 ukazał się jego „Islandzki rejs". Nie trzeba zachęcać miłośników tego typu publikacji do zaliczenia tej pozycji. Relacja z wyprawy po przygodę jest zawsze interesująca. Książka ukazała się w serii Wydawnictwa Morskiego „Sławni żeglarze".

B. M.

Dariusz Bogucki — „Do brzegów Grenlandii", Wyd. Morskie, Gdańsk 1973, str. 220, cena 20 zł.

FILM

HOMO SAPIENS

Profesor Władysław Tatarkiewicz w pierwszej, będącej prologiem filmu, scenie interpretuje filozoficzny sens słowa „iluminacja", jako procesu dochodzenia do prawdy, oświecenia umysłu, którego warunkiem jest wiedza i... czystość serca. O tę wypowiedź prosił wielkiego filozofa i estetyka, autor filmu Krzysztof Zanussi, czyniąc z niej punkt odniesienia dla spraw, które staną się tematem refleksji, ogarniającej sytuację człowieka w epoce, którą jej współcześni, obdarzeni pewną tylko autoświadomością, nazwali sami okresem „rewolucji naukowo-technicznej". W jej dobie człowiek myślący powtarza te same pytania, które towarzyszyły mu zawsze: „skąd przychodzimy, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy?" Poszukiwania odpowiedzi na nie były zawsze punktem wyjścia procesów poznania i zdobywania wiedzy o człowieku samym i świecie, który go otacza, były zatem motorem rozwoju cywilizacji. Z drugiej strony poszukiwania te były przyczyną dążeń do absolutu i tworzenia się religii, były praprzyczyną kodeksów moralnych i obyczajowych, stały u źródeł sztuki i nobilitowały naukę.

Rozwojowi cywilizacji przez wieki towarzyszyła wiara, iż nauka jest w stanie dotrzeć do prawdy, nadać rzeczom i zjawiskom sens, gdyż człowiek chce żyć w świecie, w którym ów sens jest. Współczesność postawiła nas jednak w sytuacji paradoksalnej, więcej, gdzieś na rozdrożu. Z jednej strony potoczna świadomość nie dorasta do pułapu pytań, które stawia współczesna nauka, z drugiej jednak strony owej potocznej świadomości nie jest już obcy fakt, że nauka nie może dać odpowiedzi na wszystkie pytania, towarzyszące człowiekowi. To właśnie nauka udowodniła, iż kontakt z absolutem jest niemożliwy, nie dała jednak w zamian niezbędnych człowiekowi aksjologicznych prawd i sensów, nie dała również wiary w to, że niesie samo dobro. Gdzieś na styku tych spraw, ciągle jeszcze u progów tajemnicy, zrodził się czy tylko spotęgował lęk, będący udziałem hominis sapientis czasów współczesnych. A mimo to człowiek powtarzać będzie nadal owe trzy pytania: skąd przychodzimy, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy?

Te refleksje ewokuje film Krzysztofa Zanussiego „ILUMINACJA" przede wszystkim. Stały one u źródeł filmu i zgodnie z jego posłannictwem mają być udziałem widzów. By móc je sprowokować, przedstawia reżyser fragment jednego życia, fragment, obejmujący jednak lata, będące okresem najbardziej aktywnego w życiu człowieka poszukiwania prawdy i miejsca dla siebie. Czy biografię bohatera filmu, studenta, z którym rozstajemy się u progu jego pracy naukowej można widzieć jako biografię typową, a jego sposób widzenia i odczuwania świata jako myślenie i przeżywanie typowe? Pytanie jest bezsensowne, gdy odnosi się do dzieła sztuki posługującego się innymi zasadami typowości niż dowód socjologiczny. Jednocześnie nie sposób nie zauważyć faktu, że w „Iluminacji" odnajdujemy nieznany nam z polskiego kina realistyczny obraz naszej rzeczywistości i naszych spraw, w nim zawarta jest również pewna typowość losów bohatera na drodze, którą kroczy. Jego większa niż potoczna aktywność myślenia i przeżywania jest wynikiem wyboru przez twórcę postaci modelowej, koniecznej dla ewokacji problemów, które film niesie, koniecznej dla wydobycia pewnych ich sensów uniwersalnych. Historię swego bohatera opowiada Krzysztof Zanussi tak, by na jego usiłowania poznania prawdy złożyły się nie sama nauka i jej dokonania, nie sama wiedza i dochodzenie do niej, lecz również niezbędne, właśnie potoczne doświadczenie życiowe. W tym układzie dopiero kształtuje się i aktywizuje poznawcza postawa wobec świata, której potrzebę czyni Zanussi głównym, wyprowadzonym z tradycji faustowskiej, motywem swego filmu.

Gdzieś u kresu tej przedstawionej nam drogi życiowej bohatera jesteśmy świadkami rezygnacji z ideałów poznawczych. Ukazany kompromis jest w jakimś sensie wynikiem predyspozycji psychicznej bohatera, w jakimś sensie okoliczności zewnętrznych, na które składa się czyste życiowe doświadczenie, ale przede wszystkim jest wynikiem uzyskania przez bohatera tej świadomości, która mówi o granicach możliwości nauki, która pewności dać nie może. Kompromis ten nie ma jednakże tych cech pejoratywnych, które ze słowem tym zwykliśmy wiązać. Jest on po prostu zgodą na życie, będącą wynikiem dojrzałości, na którą stać człowieka myślącego. Jest on również zgodą na konieczność pracy i działania, choćby u ich kresu nie stały jeszcze odpowiedzi te, których młodość tak jednoznacznie się domaga. Pięknie o tym mówi występujący w filmie prof. Włodzimierz Zonn.

Nie sądzę, by udało mi się dla wymogów recenzji filmowej dokonać formalnej analizy filmu Krzysztofa Zanussiego. Za obronę niechaj posłuży mi także fakt, iż twórca tego filmu, wbrew panującym w kinematografii naszej obyczajom, nie przedłożył wcześniej gotowego scenariusza. Film rodził się na planie jako wynik dokumentalnie zapisanych wystąpień i dyskusji ludzi środowiska nauki oraz improwizowanych sytuacji i dialogów, występujących w filmie postaci, w większości kreowanych przez aktorów amatorów. Film rodził się przy stole montażowym, przy którym w fabularny, znakomicie skonstruowany na zasadzie wyboru sytuacji i faktów w życiu bohatera znaczących, tok filmu włączono owe partie dokumentalne oraz te, które są popularno-naukowym wykładem. Powstał film, w którym wszystkim sterowała świadoma celu myśl autorska, w którym o lepsze walczą: wiedza, umiejętność realistycznego i metaforycznego widzenia świata, wielka pasja moralna i wielka pasja poznawcza. „Iluminacja" Krzysztofa Zanussiego jest bowiem wyrazem tego, co uczynił tematem swego filmu, czym pragnął zarazić jego przyszłych widzów.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

PROSZĘ NAS BAWIĆ!

Ten imperatyw rozbrzmiewa w naszym dzisiejszym świecie coraz bardziej kategorycznie i coraz donośnej. Wraz z przypływem kolejnej fali społecznego poczucia trwałości i wiary w wartości materialne narasta głód kultury prostej, ułatwionej, o celach nader pragmatycznych. Projektowanie wartości duchowych w naszym modelu kultury masowej ciągle jeszcze odsuwa się w sferę pobożnych życzeń pod naporem rozpędzonego molocha, który zmuszony jest produkować wciąż nowe i nowe atrakcje. I jakkolwiek posiadamy ogólną humanistyczną wizję kultury, która zmierzałaby w stronę najpełniejszego rozwijania ludzkiej osobowości, to jednak zapytani o sposoby realizacji tego pięknego celu zasłaniamy się pryncypialnymi ogólnikami. Stąd nasze zracjonalizowane ostatnio myślenie o kulturze biegnie trybem organizacyjno-technicznym, a tymczasem odczuwa się dotkliwy brak refleksji instrumentalnej na temat humanistycznych konkretów ideologii przyszłej kultury.

Ta generalna słabość objawiła się ostatnio nie tylko w obowiązujących na przyszłość dokumentach, ale również w wywiadzie udzielonym „Polityce" przez Przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, który chętniej rozmawiał o gwoździach i deskach, aniżeli o treściach, które emitują powierzone jego pieczy telewizja i radio. Z tego samego wywiadu można się dowiedzieć, że **„telewizja i radio w Polsce zaspokajają 80 proc. potrzeb duchowych społeczeństwa, nie tylko artystycznych, ale w dziedzinie informacyjnej również".** Jeżeli z dość oczywistych względów wyłączymy na wąski raczej margines radio, pozostaje telewizja, która sprawuje dominujący „rząd dusz".

Wracając do tytułu tych spostrzeżeń, pora zauważyć, że kulturowe środowisko, w którym istniejemy przenika wszechwładny pierwiastek ludyczny. Potrzeba zabawy za wszelką cenę, zabawy, która wypełniłaby życie psychiczne „samotnego tłumu" zdaje się praktycznie określać główne tendencje naszych kulturalnych poczynań. Jednocześnie postawa ludyczna współczesnego konsumenta kultury podlega — jak dowodzi Johan Huizinga w znanej książce „Homo ludens" — charakterystycznej ewolucji. W XX wieku zdecydowanie zanika aktywne uczestnictwo w obrzędzie kulturowym na rzecz biernego odbioru zjawisk kultury. A ponieważ w kulturze masowej jej najbardziej popularną domeną jest telewizja zatem widok „oglądaczy" bezrefleksyjnie wpatrzonych w telewizyjne ekrany spędza sen z powiek tradycyjnie zorientowanym, a przy tym wojującym humanistom. Ta przerażająca wizja, choć tak popularna, nie jest jednakże prawdziwa. Schematyczne wyobrażenia nie uwzględniają rozległej sieci masowych wyborów kulturowych, które rozstrzygają się nie tylko przez przekręcenie gałki telewizora. Pamiętać również należy, iż granice kulturowych wartości nie przebiegają pomiędzy środkami masowego przekazu, lecz poprzez ich zróżnicowanie treści. Siłą rzeczy jednak masowy charakter telewizji nie sprzyja zbytniej ekspansji w jej ramach tzw. kultury wyższej. Badania statystyczne dowodzą, że odbiorcy programów telewizyjnych przypisują TV przede wszystkim funkcję rozrywkową (dopiero w drugim rzędzie — funkcję informacyjną i oświatową). Według tej samej opinii programy stricte rozrywkowe spełniają swoje przeznaczenie na drugim miejscu po filmach seryjnych i fabularnych. Te masowe oczekiwania nie stwarzają telewizyjnej rozrywce okoliczności do zbyt ambitnych poczynań. Ponieważ o wtajemniczeniu kulturowym w decydującej mierze stanowi wykształcenie odbiorców, konsekwencją postulatu masowości w dziedzinie rozrywki jest raczej równanie do dołu aniżeli w górę. Stąd wziął się upiorny stereotyp tzw. przeciętnego widza, którego gust i mentalność są idealnie impregnowane na bardziej subtelne konwencje rozrywkowe. Nie jest to jednak widz przeciętny, w którego — w myśl niektórych zwariowanych koncepcji patologicznego egalitaryzmu — miałyby celować wszystkie bez wyjątku programy, ale ten widz, który po prostu stanowi najszersze audytorium. Do niego też adresuje się większość audycji estradowych TV, a problem, czy zawierają one elementy kształtujące gusty bardziej ambitne niech pozostanie tu bezwstydnie otwarty.

Właściciele gustów już wykształconych w sobotni wieczór odrywają się od lektury, aby obejrzeć kolejny „Gallux-show" Olgi Lipińskiej (17.XI, godz. 23.15). Pierwszym wrażeniem, które wywołuje zabawa inspirowana przez Lipińską jest zaskoczenie, że w zalewie telewizyjnej tandety i rozrywkowej chałtury można zrobić audycję bezbłędną w humorystycznym pomyśle i wykonaniu. Obserwując działalność Olgi Lipińskiej w telewizji można łatwo dojść do wniosku, że typ dowcipu, który proponuje ma charakter — najogólniej rzecz ujmując — literacki. Jednocześnie autorka arcyinteligentnie kojarzy tradycje literackich kabaretów od młodopolskiej bohemy przez Tuwima, Galczyńskiego i Mrożka aż do współczesnej satyry (rozwijającej się dzisiaj raczej środowiskowo) z niegdysiejszymi i obecnymi standardami piosenki, rewii, skeczu i dowcipu, w których objawiał się i objawia nadal gust masowy. Literackość tej formuły nie polega u Lipińskiej na kontynuacji treściowej, lecz na demonstrowaniu dystansu do proponowanego ubawu i zgrywy, na obnażaniu mechanizmów powstawania i konstruowania śmiesznych sytuacji, pokazywaniu warsztatu profesjonalnego humorysty. Ten sam ton cudzysłowu i bawienia się humorystyczną materią znajdziemy zarówno w studenckim kabarecie „Salon Niezależnych", czy „Elija" jak i w popularnym „Ilustrowanym Tygodniku Radiowym". Bierze się on z ogólniejszej potrzeby wywrócenia na nice i sparodiowania przeżytych i zużytych schematów rozrywkowych. Lipińska i jej team są tutaj niezrównanymi mistrzami wyrafinowanego pastiszu i trudnej sztuki persyflażu. Nie sposób przecenić zastosowanego w ostatnim „Galluxie" pomysłu wprowadzenia „homolkowatej" rodziny „patrzolubów" plastycznie ukakanych w całym komicznym jestestwie obyczajowego inwentarza.

„Gallux-show" i jemu podobne świadczą o zmieniającym się poczuciu humoru w narodzie. Jego istotą staje się subtelna ironia, parodystyczny dystans i pure-nonsens. Jego konwencją jest dowcipna kompromitacja wszelkich starych konwencji. Duch kabaretowy rządzący rozrywką tv, którą tu chwalimy wyrywa telewidza z odrętwiającego stanu ubezwłasnowolnienia i aktywizuje go, wytwarza pewien ruch wyobraźni, stwarzając sugestywną iluzję odzyskanego współuczestnictwa we wspólnej zabawie. I to by było na tyle — jak zwykł był mawiać prof. Jan Stanisławski, doctor honoris causa licznych kabaretów.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

POZORNA CODZIENNOŚĆ

Podobno zwykłe życie jest najciekawsze. Podobno świat szarego człowieka jest najbogatszy. Podobno to, co nas otacza, nasze myśli, działania, radości i smutki jest stale pisaną powieścią. Podobno żaden pisarz nie wymyśli zdarzeń tak niezwykłych, jakie bez trudu rodzi zwykłe życie.

Tej prawdy dowiodła literatura realistyczna różnych epok. Zabraliśmy się więc znów do naszej codzienności. Zwłaszcza dla młodzieży brakowało książek o „dniu powszednim". Pytaliśmy się siebie dlaczego w Łodzi bohaterowie nie mają domów rodzinnych, a jeśli mają to zupełnie nie takie, w jakich mieszka 4/5 dzieciaków w naszym kraju. Pytaliśmy się czym żyją w szkole poza wysłuchiwaniem lekcji i po lekcjach, zwłaszcza o czym ze sobą rozmawiają. Czym się pasjonują. O czym myślą na zaśnięciu.

Co zrobić jednak z książką, w której postulat „zwykłego życia" został spełniony, a życie choć niewątpliwie codzienne jest tylko tej codzienności pozorem?

Czytając powieść Honoraty Chróścielewskiej „Koncert marzeń" ma się wrażenie, że wszystkie te apele wzięte do serca, zostały wbite w ramy 133 stron tekstu i nic a nic z naszą powszedniością nie mają wspólnego.

Ci wszyscy ludzie z książki, mali i duzi, chodzą na koturnach, chociaż w kuchniach ich domów marynuje się grzybki, w pralkach robi się pranie, w zlewozmywakach — zmywanie. Realizm tej książki sprowadza się do zabiegów porządkowych i gospodarskich. Jest rozpaczliwie płaski. Bohaterowie są całkiem nieprawdziwi, chociaż spełniają niewątpliwie prawdziwe czynności.

Chuligan nie poprawia się na ogół za pomocą literatury. Nie możemy uwierzyć, że inny zmarnowany chłopak, zaczął się uczyć tylko dlatego, że autorka tak stwierdza. Werbalizm niszczy realizm.

Wszystkie dzieci, chociaż często wiemy, czym się trudnią ich rodzice, są zawieszone w próżni społecznej. Chodzą do szkoły, ale nie wiemy nic, co dzieje się naprawdę w tej szkole.

Mali bohaterowie rozmawiają ze sobą, ale nic poza potocznością z tych rozmów nie wynika. Nie wiemy kim są, albo kim w życiu będą, na kogo się zapowiadają.

Gdybyśmy uwierzyli, że nasza młodzież szkolna jest tak mało zindywidualizowana, tak niewiele myśli i tak nieciekawie żyje, skrzywdzilibyśmy tę młodzież, ponieważ ona dużo myśli, jest nawet przemądrzała. Od smarkatych i smarkaczy zaczynając.

Z „Koncertu marzeń" nie można wymienić ani jednego ludzkiego marzenia. A dzieci potrafią marzyć znacznie lepiej, niż dorośli.

Nie wiadomo skąd wzięła się ta totalna klęska realizmu „Koncertu marzeń", bo przecież autorka „czuje" młodzież, co objawia się chociażby w młodzieżowym języku.

Być może odpowiedź znajduje się w założeniu. Pisanie „pod tezę" okazało się zgubne dla „Koncertu marzeń".

Pisać dla dzieci w wieku przejściowym między dzieciństwem, a stanem „nastolatka" — najtrudniej. Dziecko jest w ogóle człowiekiem, jak każdy inny człowiek. Dziecko w wieku od 10 do 12 przeżywa samo ciekawy okres, w którym wychodzi z dzieciństwa, a nie staje się jeszcze panną, czy chłopcem. Niesłychanie dużo dzieje się wówczas z takim chłopcem, czy dziewczynką. Ogromnie dużo — w nich. Makietowanie ich życia nie zachęci do lektury. A jeśli już książka ma być chociaż rozrywką, czym mogłaby młodego czytelnika zabawić, jeżeli nic zabawnego w niej nie znajdą? Siebie — obawiam się — także nie.

Optymizm „Koncertu marzeń" jest słodki jak ciągutka, prozaiczny i ubogi i przez to niepodobny do optymizmu dziecięcego zawsze w jakiś sposób skojarzonego ze światem marzeń.

A mimo wszystko Honoracie Chróścielewskiej uda się kiedyś książka dla dzieci, jeżeli po prostu usiądzie i napisze ją bez „zbierania materiałów". Będzie to książka o dzieciach. Może nawet z nowego, łódzkiego osiedla. To osiedle musi być jednak tylko własnym miejscem życia. Niechby jedynym pod słońcem, jak wszystko, co wiąwanie się społeczności" nowego że się z dzieciństwem. „Formo-osiedla pochłonęło marzenia i subtelny świat dzieciństwa, śmiech i łzę i realizm życia ludzkiego. Cóż z tego, że tylko małych ludzi?

Honorata Chróścielewska: „Koncert marzeń", Wydawnictwo Łódzkie 1973, str. 133, cena zł 10.—

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

MAGAZYNEK

MAMY NASZ WZÓR

Dzisiaj porozmawiajmy szczerze. Zresztą zawsze rozmawiać będziemy szczerze, ale dzisiaj porozmawiajmy wyjątkowo szczerze. Ty i ja, chłopy już pod wąsem, sąsiadka z dołu, też nie pierwszej młodości – wszyscy, absolutnie wszyscy, gorączkowo szukamy wzorca do naśladowania, bohatera do przymierzenia się. A tu życie płynie i różnie wypada... No, ten smutny etap już za nami! Jak zwykle w potrzebie, ludzie filmu przyszli nam z pomocą.

Staś i Nel – oto wzór, którego nam brakowało. Praktycznie wygląda to teraz tak:

Kolega w biurze obgaduje nas, donosi, cukier nam chyłkiem z szuflady wykrada. Odwołujemy go na stronę i patrząc w oczy mówimy z naciskiem:

– Słuchaj stary, Staś tak nie postępował...

Kolega mięknie, peszy się, piwo by stawiał i rośnie z niego nowy człowiek.

Albo referentka nadęta tak siedzi, załatwić nic ci nie chce. A my do niej twardo po swojemu:

— Nel taka nie była...

Referentka zaraz w pąsach cała, podanie nam z ręki wyrywa.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..."

K.I.G.

Szkoda Stasia i Nel dawać na wzór tylko dzieciom. Dzieci zaraz wszystko połamią i zepsują. Odbierzmy głuptasom dzieciom Stasia i Nel. Od dziś, od zaraz, sami bądźmy jak Staś i Nel – oto nasze hasło! Oczywiście panowie równają do Stasia, panie zaś do Nel – a nie odwrotnie. Stasionelowcy do czynu!

ANEGDOTKA Z FILMOWYCH SFER

Znany aktor, pan P., opowiadał nam, że w jednym ze swoich ostatnich filmów grał ciekawą rolę mężczyzny przebranego za kobietę. Otóż wyobraźcie sobie, pewien turysta francuski, który nic o tym nie wiedział, chciał się z nim koniecznie ożenić w czasie przerwy obiadowej. A potem, gdy ze śmiechem mu błąd wyjaśniono, tak polubił aktora, pana P., że ponownie wystąpił z propozycją małżeństwa. Filmowcy żartowali sobie, że była to turystka francuska, przebrana za turystę, ale takie żarty komplikowały tylko jeszcze bardziej całą sprawę.

ZE ŚWIATA FILMU

W Anglii miejscowi chuligani wynaleźli sobie nową „zabawę". Korzystając z nocnych ciemności, obrywają oni kółka od kin objazdowych, pozbawiając je tym samym możności objeżdżania. Takie kina objazdowe bez kółek, stojąc potem bezradnie całymi miesiącami fatalnie szpecą krajobraz.

Z NASZEGO PODWÓRKA

Szuka się, próbuje, ale nie wszystko jeszcze gra. I tak np. bilety kinowe swoim wyglądem i formą nie wywołują ciągle jeszcze prawdziwych doznań estetycznych.

CIEKAWE ĆWICZENIE

Bardzo ciekawym i pouczającym ćwiczeniem jest wyszukanie (najlepiej chyba w lesie) osobnika, który nigdy w życiu nie oglądał filmu. Szybko prowadzimy, takiego do kina i bacznie obserwujemy jego reakcje w czasie seansu. Podobno można skonać ze śmiechu!

KURS DLA SCENARZYSTÓW. ODCINEK II

Oczywiście czasu przez tydzień nie straciliśmy. Każdy ma przed sobą na karteczce te kilkadziesiąt pomysłów na scenariusz. Tu fachowa uwaga: zbyt duża ilość pomysłów na scenariusz, może działać przygnębiająco. Z drugiej strony ich za mała ilość utrudnia eliminację.

Teraz pomysły, które uważacie za najlepsze, podkreślcie czerwonym ołówkiem i szybko o nich zapomnijcie. Bo co Wy tam możecie wiedzieć, który pomysł jest najlepszy. Od tego jesteśmy my, MAŁE KINO, Wasz doradca.

A więc do następnego numeru, w którym pomówimy o selekcji pomysłów.

Kochajcie nas! Piszcie do nas! MAŁE KINO odsłoni Wam każdą tajemnicę świata filmu, tej wielkiej wizualności.

SŁAWOMIRA MROŻKA

POCZET KRÓLÓW POLSKICH

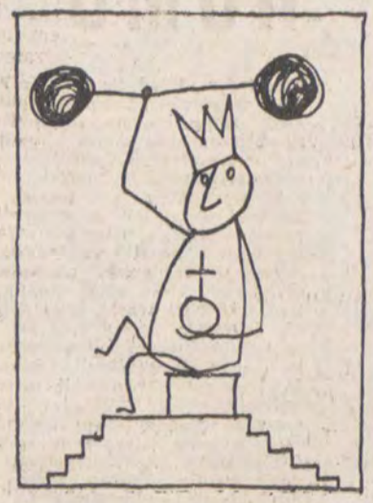

August Mocny

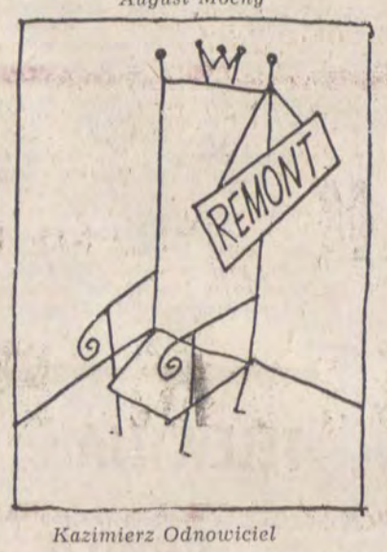

Kazimierz Odnowiciel

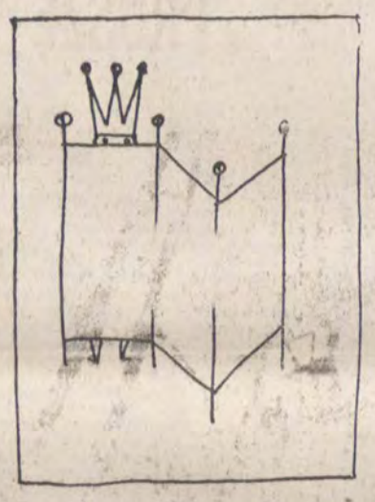

Bolesław Wstydliwy

POWIĘKSZENIA

NO TO CYK!

W „Dzienniku Łódzkim" czytamy komunikat: **„Koło Młodych przy ZHP zaprasza sympatyków na tradycyjny turniej poetycki o puchar wina..."**

Jak już harcerze postanowili pisać wiersze, to nie mogą się odbyć bez wina. Wiadomo! Poeci naród trunkowy.

WYWIAD

Prezes Radiokomitetu udzielił wywiadu „Polityce". Z co celniejszych wypowiedzi warto zanotować złotą myśl: **„Od czytania książek się nie chudnie..."**

Poza tym Prezes poczynał sobie dzielnie — na uwagi, że telewizja modna, kontrował, że prasa też... Na uwagę, że telewizja nie wypracowała sobie stylu, odpowiadał, że prasa też...

Przypomina to reakcję pewnego pana, który na uwagę jakiegoś Amerykanina, że „Syrenka" jest niedobrym samochodem, odparł „A u was Murzynów biją!"

OZNAKOWANIE

W programie publicystycznym TV-Łódź jeden pan wypowiedział się na temat dyscypliny pracy. Otóż istnieje ponoć jakaś fabryka w Łodzi, gdzie pracownicy są poubierani w fartuchy różnych kolorów, np. tkalnia ma fartuchy niebieskie, a magazyn żółte... Wszystko dlatego, aby ludzie nie chodzili sobie luzem po fabryce – „obcy kolor" jest znaczny, łatwo go wykryć i przegonić...

Pan w telewizji powiedział, że jest to eksperyment i że to chodzi o świadomą dyscyplinę.

Mamy pewne wątpliwości. Eksperyment to nie jest, bo metoda znaczenia ludzi przy pomocy ubrań jest dokładnie sprawdzona. Ze świadomością ów pomysł też ma niewiele wspólnego.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

WSPÓLNY POKÓJ

Leciutkie pukanie ocknęło go. Oczywiście stara małpa śpi i on będzie musiał pójść otworzyć. Narzucił na siebie płaszcz i otworzył drzwi. Stała tam bardzo milutko uśmiechnięta panna Leopard. Wspięła się na paluszkach i przechyliła główkę:

— Można wejść do środka? — zapytała najsłodziej.

O mało nie zwalił się jak długi, kiedy ją zobaczył. Czuł, że jedyny ratunek to łóżko, podążył więc tam jak mógł najśpieszniej, mamrocząc coś, żeby weszła.

Zdejmowała rękawiczki, rozglądając się po pokoju.

— Zupełnie jak u Murgera — powiedziała i skierowała swe czarne oczy w wychudłą i rozpaloną twarz Lucjana.

— Choruje pan podobno, więc przyszłam, odwiedzić przyszłam. Usiądę tu obok pana, na łóżku. Proszę mi coś powiedzieć o sobie. Co panu właściwie jest?

— Po co pani tu przyszła, przecież to już jest nieludzkie.

— Wiem, że jestem bardzo winna, lecz nie ma sensu wspominać dawne historie, spróbujmy dojść do porozumienia, panie Lucjanie, niechże nan mnie pojmie!

— Tu nie ma nic do pojmowania. Muszę panią uprzedzić, że często bywam ordynarny, prócz tego chory jestem i nerwy mi nie bardzo dopisują.

Poczęła go gładzić po kolanie i mówić jak do dziecka:

— Taki chory, taki ordynarny i taki,... taki bardzo kochany, i malutki, i nerwowy... no, już dobrze, prawda? wszystko dobrze?

Było mu rzeczywiście dobrze, to gładzenie po kolanach i wyżej było wcale przyjemne. Z drugiej strony odczuwał wyraźnie psychiczną urazę do tej wystrojonej i pachnącej dziwki. Musiał ścisnąć rękę, by nie trzasnąć jej w tę gładką gębusię.

— Pewnie Lusiowi smutno jest tutaj samemu?

— Smutno, smutno.

— Wie pan, ja to sobie tak czasem myślałam, że bardzo nikczemnie z panem postąpiłam. Ja rzeczywiście wolę starszych mężczyzn, a z drugiej strony imponuje mi taka młodzieńcza miłość i przez jakąś dziwną perwersję staram się ją upokorzyć. Sama jestem młoda, m przecież dopiero dwadzieścia pięć lat. Ale z panem to rzeczywiście za ostro postąpiłam.

— Już drugi raz mi to pani mówi.

— Ach, tak, wtedy, tam na plaży. A potem, wie pan... byłam taka niezdecydowana. Bądźmy przyjaciółmi.

— Dziękuję pani, obejdę się.

Tymczasem lewa ręka panny Leopard bardzo skutecznie prosperowała pod kołdrą. Nad wyprężonym ciałem Lucjusza i pochyloną kobietą zapanowała charakterystyczna cisza. Wreszcie ręka wysunęła się spod kołdry. Lucjan obrócił się twarzą do ściany, a panna Leopard wyszeptała:

— Maleńki, przyjemnie było?

Leżał wściekły i zupełnie wyczerpany. Z rozpaczą myślał, jak źle z nim jest, skoro taka drobnostka pozbawiła go sił. Przy tym nie powinien był pozwolić na ten gwałt ze strony znienawidzonej kobiety. Nie, stanowczo nie miał charakteru. Czy przyjemnie mu było? Uchh! wstrętna k...a!

— Nic mi mój chłopczyk nie powie?

— Nic, prócz wstrętu.

— Jak można być takim grubianinem?

— Trzeba nawet, skoro się ma do czynienia z tak przewrotnym stworzeniem jak pani.

— Musi pan jak najprędzej wyzdrowieć. Będziesz przychodził do mnie, postaram się przekonać cię do siebie. W gruncie rzeczy mam dla ciebie wiele tkliwości, mój mały.

— Najlepiej będzie, jeśli pani pójdzie sobie i zostawi mnie samego. Jest mi pani bardziej niż obojętna. Czuję się bardzo źle i dręczy mnie widok pani.

— Ach, kochany, jakże uroczy jesteś w swoim gniewie. Łżyj mnie, to tak rozkosznie być obrażoną przez ciebie, czuje się mężczyznę!

— Proszę w tej chwili wyjść, dziwko bez ambicji! Przyszłaś tu jeszcze kpić ze mnie! Wynoś się do jasnej cholery!

— To ty tak naprawdę? Czy sądzisz, że nie znajdzie się nikt, przed kim odpowiesz za te słowa?

— W d..e mam twoich rycerzy! Grób mój najwyżej o....ą! W tej chwili proszę wyjść stąd!

Krzyczał na cały głos. Sprawiał wrażenie furiata. Na progu stała przerażona chłopka i przyglądała się całej scenie. Panna Leopard uśmiechnęła się, naciągając rękawiczki. Wychodząc, powiedziała na pół do siebie, na pół do Lucjana:

— Coś tak dziwacznego przytrafiło mi się pierwszy raz w życiu. Gdybym to komuś powiedziała, nie uwierzyłby. Po tym wszystkim, takie słowa! Wariat zupełny.

Wychodząc spotkała w drzwiach Teodozję. Obrzuciły się badawczo wzrokiem. Teodozja trzasnęła drzwiami i podeszła do Lucjana.

— Czego tu chciała ta damulka?

— U mnie była, co cię to zresztą obchodzi?

— Obchodzi mnie, bo cię aż skręciło z tej wizyty! Na chwilę nie można wyjść z domu, już go naszła jakaś lafirynda!

— Nie mów tak wiele, daj mi się lepiej napić czegoś.

Gorączka znów objęła podniecony gniewem organizm. Na policzki wystąpiły dwie ceglaste plamy. Dłonie były wilgotne, a oczy błyszczały. Uczuwał brak powietrza i szum w głowie.

Teodozja przyrządziła mu chłodny napój, jakąś wodę z sokiem. Postawiła szklankę na krześle i sama usiadła obok niego. Odgarnęła mu kosmyki włosów z czoła. Starała się ukryć wyraz czułości na swej twarzy. Poczęła się zwierzać ze swych trosk.

— Czy nie domyślasz się, jakie ciężkie mam życie? Pracować muszę ciężko i nie mam się czym pocieszyć. Edek umarł, diabła on wart był, ale zawsze brat. Teraz z tobą coraz gorzej, mój ty biedaku najdroższy. Tak sobie umyśliłam, że już przez całe życie będę przy tobie, choćby za pokojówkę albo za jaką inną służącą. Bo wiem przecież, żeś z innych ludzi i żenić się ze mną nie możesz. Jedyna pociecha, że mogę teraz chodzić koło ciebie, bo jakbyś był zdrów, to latałbyś ciągle po mieście i widzieć bym cię nigdy nie mogła. Myślisz może, że pałuję, że ci się oddałam. Wcale nie, tylko teraz jest tak źle, że nie masz sił i że nie możesz mieć ze mnie żadnego pożytku. A tak ciągle myślę, że za nic mnie masz i tylko się nudzę sobą bez ustanku.

— Nie gadaj głupstw, Todziu, bardzo cię lubię i szanuję, jesteś taka dobra dla mnie, doglądasz mnie w chorobie.

— A co mam nie doglądać? Bylebyś tylko z niej wylazł.

— To bardzo wątpliwe, moja droga. Już się tak wszystko składa, żebym pożegnał się z tym światem.

— Nie trzeba tak mówić, ile to ludzi wyszło z gorszych jeszcze rzeczy. Wszystko w ręku Boga.

— Jakiego tam Boga!

— Właśnie dlatego, że wiary żadnej nie masz, to ci tak wszystko ciężko idzie. Jest czy nie jest, nie ludzka to rzecz zastanawiać się nad tym, byleby tylko wierzyć, to już jest jakieś oparcie.

Przytuliła policzek do jego twarzy i szeptała mu do ucha.

— Tak mi się chce ciebie, że mało sobie tego brzucha czasem nie rozerwę, a najgorzej to już w nocy, nauczyłeś mnie tych różnych przyjemności i teraz rady sobie dać nie mogę. Żebyś mnie chociaż samej z tym wszystkim nie zostawił.

Wywnętrzała się i tuliła do niego. Długi szereg czułych zdań, wstrzymywanych tak długo. W końcu powiedziała mu, że tak bardzo go kocha, że poza nim żadnego mężczyzny nie widzi na świecie. Student przerwał ich tkliwą samotność.

FRAGMENTY

Zbigniew Uniłowski (1909—1937), wybitny pisarz dwudziestolecia międzywojennego. Odrębne miejsce w realistycznym nurcie prozy międzywojennej zapewniła mu powieść „Wspólny pokój" (1932). — pesymistyczny obraz z życia warszawskiej cyganerii literacko-studenckiej. W prozie swojej posługiwał się zarówno techniką naturalistycznego opisu, jak i groteskową i karykaturalną stylizacją.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź ul. Ar.Czerwonej 28 Zam. 2598. T-4, Nr indeksu 37006